

Andrzej Mathiasz

ZAKLECIE KEDARA

Zakęcie, które miało być ratunkiem dla świata,
stało się dla niego przekleństwem!



Andrzej Mathiasz

ZAKŁĘCIE KEDARA

eISBN 978-83-971547-0-4

Wydawnictwo AM

Prolog

1.

Mistrz Kedar uchylił ciężkie metalowe drzwi i bezszelestnie wśliznął się do pogrążonej w mroku komnaty. Ktoś normalny nie byłby w stanie wejść tak cicho, ale Kedar był przecież Mistrzem! Znaczą magii! W środku panowała wilgoć i czuć było zaduch niewietrzonego pomieszczenia. Podszedł, stąpając ostrożnie do drewnianego łóża, gdzie w wymiętej pościeli leżał jego ukochany uczeń Zorran. Jasnocatangowe loki młodzieńca wiły się po poduszce niczym płomień pochodni. Oddychał nierówno. Gałki jego oczu biegały pod zaciśniętymi powiekami jak w gorączce, a z ust wydobywały mu się ciche jęki, jakby śnił koszmarny sen.

Serce Mistrza ścisnął ból i w jego oczach zabłyśły łzy. Kochał Zorrana jak syna. Ostatnie lata życia poświęcił, by przekazać mu całą swą wiedzę o białej, dobrej magii. Marzył, że kiedy jego dni dobiegną kresu, to właśnie on stanie się jego następcą. A teraz musiał go unicestwić. Gdyby tego nie uczynił, cały świat – to znaczy Kosmos, nieskończony Wszechświat ze wszystkimi galaktykami i czarnymi dziurami, gwiazdami i planetami, a wśród nich i planetą Margentą – znalazłby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie!

Kedar uniósł dyszę likwidatora i wycelował ją w Zorrana, jednak nie miał odwagi nacisnąć na spust. Po chwili, która wydawała się wiecznością, dłonie zaczęły mu coraz mocniej drżeć. Nie działo się tak wcale z powodu ciężaru likwidatora, lecz bezsilnej rozpacz w jego sercu. W końcu Mistrz opuścił broń i w tym samym momencie Zorran otworzył szeroko oczy. Pałały gniewem i nienawiścią, i były całkiem przytomne, jakby uczeń Kedara wcale nie spał, lecz od początku śledził uważnie poczynania nauczyciela.

Dalej wszystko rozegrało się w przejmującej do bólu ciszy. Zorran wykrzywił twarz, uniósł się raptownie i jednym szarpnięciem zerwał z szyi nauczyciela owalny, kamienny medalion z zaklęciem Kedara. Wziął szeroki zamach i uderzył nim nauczyciela w skroń. Cios był tak mocny, że brzeg medalionu

się ukruszył i jego kawałki, zmieszane z odłamkami kości czaszki Kedara rozsypały się z chrzęstem po podłodze. Z ust Mistrza wyrwał się krótki jęk, który gwałtownym dreszczem wstrząsnął najdalszymi przestrzeniami Kosmosu.

2.

Roton wzdrygnął się i nagły skurcz wykrzywił mu twarz. Dźwięk, który dobiegł właśnie do jego uszu, prześwidrował go aż do szpiku kości.

Czy to możliwe – zastanawiał się teraz gorączkowo – że śmiertelny jęk Kedara przez tyle rotowieków błąkał się po Wszechświecie, by w końcu dotrzeć aż tu, do Mgławicy Czarne Wiru, i to dokładnie w chwili, gdy mam wypowiedzieć jego zaklęcie?

Podźwignął się ciężko z purpurowego fotela ustawionego pośrodku obszernego, mrocznego pomieszczenia. W długim płaszczu ze skóry lwwaka wyglądał dostojnie i groźnie. Kruczoczarne włosy z szerokimi siwymi pasmami spływały mu na ramiona. Usta przecinały jego bladą twarz w poprzek jak świeża blizna, a spod krzaczastych brwi padało na świat przesywające spojrzenie stalowych oczu. Wokół jego głowy krążyły słońca, planety i całe galaktyki. Pulsowały białym światłem i zdawały się pozostawać w zasięgu jego ręki, w jego władzy, lecz to było tylko złudzenie, hologramowa projekcja Wszechświata ze specjalnych projektorów 3D.

Roton rozchylił poły płaszcza. Dopiero teraz dało się zauważyć, że zamiast jednej ręki i jednej nogi miał masywne, czarne protezy. W oczy rzucał się też wiszący mu na piersi okazały, kamienny medalion. Mimo zgniłozielonej patyny, którą pokrył go czas, widać było wyryte w nim spiralnie litery. Sprawiały wrażenie, że układają się w przypadkowy ciąg alfabetycznych znaków. W rzeczywistości jednak skrywały w sobie tajemną moc zaklęcia Kedara.

Roton wolno przesunął dłoń po spiralnym wzorze, wyczuwając pod palcami wklęsłość każdego znaku. W miejscu, gdzie powinna stać ostatnia litera Zaklęcia, jego palec trafił na głębokie wyszczerbienie.

– Kiedy tylko odgadnę tę brakującą literę, zostanę władcą Wszechświata! – wyszeptał i podniósł oczy na białą tablicę pod sufitem, wypełnioną starannie wykaligrafowanymi literami margentiańskiego alfabetu.

Prawie wszystkie znaki z nich były wykreślone, z wyjątkiem dwóch: „W” i „Z”, z których każdy mógł być tą nieodgadnioną, brakującą literą zaklęcia.

– Tylko która? – wymruczał przez zaciśnięte zęby. – Która z tych liter daje władzę, a która wtrąca w nicość na zawsze? Jak mam to odgadnąć?

Zaczął nasłuchiwać w nadziei, że jakiś tajemny głos z Kosmosu podpowie mu właściwy wybór.

– Masterze! – rozległ się naraz skrzeczący głos i Roton wzdrygnął się z niechęcią.

Na centralnym monitorze wyświetliło się pięć straszliwych pysków należących do jego potwornych adiutantów. Stworzył ich sobie sam, według genialnego w swojej prostocie pomysłu. Skrzyżował najmądrzejsze układy scalone, „scalaki”, z najgroźniejszymi potworami z Mgławicy Czarnej Wiru. W ten sposób zamierzał stworzyć najprzebieglejsze i najokrutniejsze bestie, jakie kiedykolwiek widział Wszechświat: Scalory. Na pierwszy ogień poszedł Bazyliszek Żarłoczny, któremu wszczepił układ zbudowany z kilkunastu najnowszych procesorów, wzmacniaczy operacyjnych, modulatorów i demodulatorów.

I co z tego powstało?

Roton spojrział z pogardą na Scalora o dwóch łbach i skrzywił usta w podkowę. Bo oto, zamiast rozumnego i groźnego potwora, powstał Bazylich, całkiem niegroźny i zupełnie bezmózgi.

– Usłudźnie melduję – odezwała się lewa paszcza Bazylicha – że do inwazji na Margentę planetę gotowe wszystko jest!

– To ja melduję! – obruszyła się natychmiast jego prawa paszcza. – To ja usługuję! Ja!

– Cisza! – ryknął Roton i obie paszcze zamknęły się z suchym kłapnięciem.

Na szczęście następne egzemplarze Scalorów, Ptakoj i Gliździuch, były już zdecydowanie bardziej udane. Za to ostatni z nich, Żuj, stworzony na bazie

Przeżuwacza Olbrzymiego, wyszedł Rotonowi tak dobrze, że mógł go mianować dowódcą wszystkich adiutantów, którzy w swojej masie stanowili najgroźniejszą i najbardziej niszczycielską siłę w Kosmosie. Oczywiście pod jego wodzą.

– Do gwiazderów i zaczynać atak! – Kiwnął głową Żujowi. – Nikt nie może się wymknąć z Margenty! Nikt!

– Jest tak! Nikt! – ryknęły potwory chórem, wyprężyły się i znikły.

Już po chwili rozległ się ogłuszający warkot silników, a ekrany zasnuły gęste kłęby spalin. Roton śledził uważnym wzrokiem cztery odlatujące w mrok gwiazdery. Wyglądały jak wielkie pluskwiki pełzające coraz szybciej po ekranie. Poblyskiwały groźnie pancierzami oraz licznymi odnóżami śmiertelności uzbrojenia. Przez przeszklone kabiny statków dało się dojrzeć potworne pyski Scalorów w wielkich, kosmicznych hełmach. Gdy statki zniknęły w końcu w tunelu przyspieszeń, Roton ujął mocno medalion w dłoń i paraliżujący lęk ścisnął mu gardło. Wiedział, że nadeszła chwila ostatecznej próby. Za moment po raz trzeci przystąpi do odczytania Zaklęcia Kedara. Trzeci i ostatni. Jeśli odgadnie właściwą literę, zdobędzie władzę nad światem. Jeśli jednak mu się to nie uda, na zawsze zapadnie się w Nicość!

Powiódł oczami po otaczających go ciałach niebieskich, a gdy odszukał w górnym rogu mały, pulsujący bladym światłem punkcik, wbił w niego wzrok.

– Planeta Margenta – wyszeptał wyschniętymi wargami.

Ściskając kurczowo w palcach medalion z zaklęciem Kedara, w napięciu czekał na znak.

3.

Nagle huknęło i świat zatrzęsł się jak galareta. Wybuch był tak silny, że Margottę uniosło w powietrze jak piórko. Od razu pożałowała, że tu weszła, lecz świeżo po ucieczce z domu nie miała się gdzie podziać, a złomowisko znała przecież jak własną kieszeń. W końcu było to miejsce ich zabaw w chowwańca, tyle że pierwszy raz przysłała tu sama. Choć już dawno odkryła w jednej z hałd

usypanych z zezłomowanych przedmiotów przerdzewiały właz, to dopiero teraz odważyła się precyzyjnie przejść przez niego i wejść do środka.

To będzie mój nowy dom – pomyślała, posuwając się niemal po omacku długim, ciemnym korytarzem. Tu na pewno nikt mnie nie znajdzie. Zresztą, kto by miał mnie szukać? Tata? Wcale nie zauważy, że mnie nie ma. Od śmierci mamy poza swoją pracą świata nie widzi. Nawet nie znalazł czasu, żeby przyjść na mój występ szkolny, choć tyle razy obiecywał. A Maak, Rakk i reszta paczki? Ucieszą się tylko, że żadna gówniara nie będzie się im już więcej „pętać pod nogami”.

Nagle Margotta się zatrzymała, bo drogę zagroziły jej metalowe, zardzewiałe drzwi. Pchnęła je z całych sił i to wtedy właśnie nastąpił ten wybuch. Jakaś niewidzialna siła uniosła ją w górę i rzuciła na długą ladę. W ostatniej chwili zdołała zasłonić się rękami. Tylko dzięki temu nie odniosła poważniejszych obrażeń. Z trudem zdołała się podnieść na nogi i rozejrzeć. Stała na pełnym kolorowych przycisków i jakichś przełączników pulpicie, który biegł przez środek obszernego pomieszczenia. Mimo że tonęło ono w mroku, zdołała się zorientować, że w dodatku wszystko tu było w pajęczynach. Oszklone szafy przy ścianie z mnóstwem kabli, sporych rozmiarów ekrany pod sufitem, a nawet dwa wysokie fotele vis a vis tych ekranów z miskami odwróconymi dnem do góry przy oparciach.

To pewnie stare suszarki do włosów – domyśliła się. A więc zamieszkać w zezłomowanym zakładzie fryzjerskim!

– O rany! – wykrzyknęła nagle, a pogłos zwielokrotnił jej okrzyk.

Całkiem nowa sukienka, którą ubrała na okazję ucieczki z domu, wyglądała teraz wręcz tragicznie. Była porozrywana, wybrudzona i oblepiona pajęczynami.

– Błę!

Od razu wyobraziła sobie, jak strasznie musi wyglądać jej twarz i postanowiła natychmiast się gdzieś umyć. Jednak gdy tylko zrobiła krok, coś głośno zapiszczało. Spojrzała pod nogi i natychmiast się zorientowała, że nadepnęła na jeden z pokrywających pulpity przycisków. Wystraszona cofnęła się i wtedy zahaczyła o jakąś wystającą z boku wajchę. Do wcześniejszego pisku doszedł teraz

przenikliwy, pulsujący dźwięk alarmowej syreny. Chciała zeskoczyć i uciec gdzie pieprz rośnie, lecz w tym samym momencie zza jej pleców dobiegł głośny okrzyk:

– Nie ruszaj się!

Zastygła na jednej nodze jak sparaliżowana. Bała się nawet oddychać. Dotąd była pewna, że jest tu sama. Tymczasem najwyraźniej ktoś się czaił za jej plecami.

A jeśli ktoś się czai, to znaczy, że ma złe zamiary! – uświadomiła sobie i natychmiast ogarnęło ją prawdziwe przerażenie.

Nie odwracając głowy, spojrzała w bok i kątem oka zauważyła jakiegoś osobnika. Jego wygląd od razu potwierdził jej najgorsze obawy. Postać w przykurzonym kombinezonie przypominała bardziej muzealny eksponat niż żywą istotę. Stała wyprostowana i sztywna, jakby połknęła kij, a z bladą, podobną do maski twarzą wyglądała zupełnie jak...

Upiór!

Na tę myśl lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach.

Skoro straszy w starych zamczyskach – myślała gorączkowo – to może straszyć i w starych zakładach fryzjerskich...

– Nie podążaj ani kroku! – rozkazał jej sucho Upiór, lecz przerażona Margotta ani myślała go słuchać.

Przerażona rzuciła się do panicznej ucieczki. Biegła po długiej ladzie, nie zważając na żadne wajchy i przyciski, byle szybciej dopaść do wyjścia.

– Nie! – krzyknął Upiór i ruszył za nią w pogoń.

Od tej chwili wypadki potoczyły się błyskawicznie. Całe pomieszczenie ożyło, jak gdyby ktoś nagle uruchomił wesołe miasteczko. Przyciski na pulpicie zaczęły migotać, przeszklone szafy rozbłyły różnokolorowymi światełkami, a fotele pochylały się majestatycznie do przodu. Wszystko zaczęło wibrować, a spod podłogi rozległy się podejrzanie niskie dźwięki.

Na szczęście Margotta dopadła właśnie do metalowych drzwi. Pociągnęła za uchwyt, gdy nastąpił drugi wybuch, dużo mocniejszy od pierwszego. Pomieszczeniem zatrzęsło, drzwi z głośnym hukiem zatrzęsły się przed jej nosem, a ją odrzuciło do tyłu. Z tej katastrofy już na pewno nie wyszłaby cało,

gdyby nie wylądowała... w objęciach Upiora. Szarpnęła się, lecz on trzymał mocno jak w stalowych kleszczach.

– Zaczęło się! Zaczęło... – powtarzał, jakby się zaciął.

Rozdziawiła szeroko szczęki i z całych sił wbiła zęby w jego przedramię, lecz na Upiorze nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Za to ona poczuła rwący ból, jakby ugryzła kawał żelastwa. I wtedy ją olśniło.

To nie może być Upiór! Przecież upiory są bezcielesne, a ja właśnie połamałam na nim zęby. W takim razie to, kim on jest?

– Zwę się Robbertitto! – sapnął głośno Upiór, jakby czytał w jej myślach.

Po tych słowach bezceremonialnie cisnął ją na fotel i mocno skrępował pasami. Wtedy dotarła do niej ta straszna prawda. To wcale nie był Upiór. Było znacznie gorzej, bo właśnie wpadła w łapy jakiegoś szalonego Fryzjera! Robbertitto to przecież imię akuratne dla Fryzjera. Podczas gdy Upiór mógł ją co najwyżej porządnie nastraszyć, to taki szalony Fryzjer był w stanie skrócić ją razem z włosami o głowę.

– Robbertitto, vel Ferdynando – przedstawiał się dalej Fryzjer, utwierdzając ją w swoim przerażającym odkryciu – Zenobio... de Marcello... della Rolca Trzysta Dwudziesty Siódmy... W skrócie... Robb. A ciebie jak zwa?

– Jestem... Mar...

Margotta w ostatniej chwili ugryzła się w język, gdyż nagle postanowiła nie zdradzać temu Robbowi swojego prawdziwego imienia.

– Ka... lilla. Jestem Kalilla – wydukała pierwsze lepsze imię, jakie przyszło jej na gorąco do głowy.

Fryzjer zbliżył się do niej i zanim zdążyła zaprotestować, nasunął jej na głowę zamocowaną do oparcia fotela suszarkę. Znow zaczęła się wrywać i wzywać pomocy, ale pasy trzymały ją mocno, a ścianki suszarki tłumily jej krzyki. Nagle zamilkła, bo poczuła, iż zakład fryzjerski trzęsie się i zgrzyta. Obejrzała się i ze zdumieniem stwierdziła, że Fryzjer siedzi obok i jest podobnie, jak ona jest przywiązany do drugiego fotela. Pochylił się w kierunku lady i gwałtownie przyciągnął do siebie najbliższą wajchę. Pomieszczenie zadygotało, jakby miało

rozpaść się na kawałki. Zaraz potem, razem z oblepionymi pajęczynami szafami, ladą, ekranami i wreszcie fotelem, na którym siedziała Margotta, zaczęło... unosić się nad glebbą.

Paniczny strach ścisnął jej gardło i zdała sobie sprawę, że cały czas była w błędzie. Wcale nie miała do czynienia z Upiorem, ani nawet z Fryzjerem. Było dużo gorzej, niż myślała. Właśnie została porwana przez...

– Kosmitę!

Na ekranach przed jej oczami rozciągał się widok złomowiska z lotu ptaszakka. Wznosili się coraz wyżej i już po chwili góry zdezelowanych sprzętów i zardzewiałych urządzeń wydawały się małe jak krettowiska. Raz po raz słychać było odgłosy potężnych wybuchów i krajobraz rozświetlały oślepiające rozbłyski.

Naraz w alejce biegnącej przez środek złomowiska dostrzegła jakąś postać, która nie zważając na wybuchy, kogoś szukała, zaglądając w każdą dziurę. Margotcie serce podeszło do gardła. Dobrze знаła ten charakterystyczny, utykający chód. To była pamiątka po wypadku, gdy ktoś staranował samojazd rodziców. Jej mama zginęła, a tata doznał ciężkiego złamania nóg, po którym lekarze nie dawali mu szans na chodzenie.

– Tatuś! – wykrzyknęła co sił w płucach.

Postać zatrzymała się, jakby usłyszała jej wołanie. I wtedy wydarzyło się coś strasznego. Powietrze rozdarł kolejny wybuch i jęzory niebieskiego ognia ogarnęły jej tatę, jakby chciały go pożerać.

– Tatuś! – wrzasnęła rozpaczliwie. – On nie żyje!

– Żyje! – Robb zaprzeczył stanowczym głosem. – To tylko rakiety mrożące.

– Tylko?! Wypuść mnie! – Margotta spróbowała wyrwać się z fotela. – Mój tatuś mnie szukał... Muszę go ratować!

– Teraz musimy ratować siebie! – odkrzyknął jej Robb i pchnął gwałtownie jedną z dźwigni.

Zawyło i potężna siła wbiła ją w fotel. W jednej chwili pociemniało jej w oczach i straciła oddech. Kiedy się ocknęła, poczuła, że lecą.

– Zostaliśmy zaatakowani! – Jak z oddali dotarł do niej głos Robba. –
Próbuję umknąć tunelem przyspieszeń.

Spojrzała na ekran i omal nie zemdląła. Cztery statki kosmiczne, wyglądające niczym wielkie, opancerzone robale z wieloma odnóżami siedziały im na ogonie i waliły w nich rakietami jak na strzelnicy.

– Gazu! Leć szybciej!

– Już lecimy szybciej! – odkrzyknął jej Robb, lawirując pomiędzy coraz bliższymi wybuchami rakiet. – Jeszcze szybciej nie ma możliwości!

– To strzelaj! Na co czekasz?!

Margotta rzuciła się na ladę i zaczęła bombardować pięściami najbliższe przyciski.

– Nie czyń tego! Jesteśmy nieuzbrojeni! – wrzasnął Robb, lecz było już za późno.

Jeden z guzików zapulsował catangowym światłem i za ich statkiem pojawiła się jakaś mgielka. Mieniła się wszystkimi kolorami tęczy i szybko powiększała swoje rozmiary.

– Wiesz, coś najlepszego uczyniła? – W głosie Robba dało się słyszeć rozpacz i beznadzieję. – Ty... opróżniłaś zbiornik paliwa. Teraz już im na pewno nie umkniemy.

Na potwierdzenie jego słów poczuła, że zwalniają. Wrogie statki zbliżyły się i przez przeszkłone kabiny mogła teraz dostrzec tryumfalnie uśmiechnięte pyski agresorów, pokryte kępkami zmierzwionej sierści. Z czaszek wystawały im druty, a ich wyłupiaste ślepią pałały rządzą niszczenia. Gdy wrogie statki odpaliły kolejne rakiety, Margotta zauważyła, że Robb odwrócił twarz od ekranu. Jakby nie chciał patrzeć na to, co miało zaraz nieuchronnie nastąpić.

– To koniec, rozumiesz? – wyszeptał. – I nie chodzi wcale o mnie... ani o ciebie. To koniec wszystkiego! Całego świata.

Podniósł oczy, jakby chciał po raz ostatni spojrzeć na świat.

– Przez ciebie... – zaczął, ale urwał nagle, wpatrzony w ekran.

Margotta podążyła za jego wzrokiem. Od razu zauważyła niewielkie rozbłyski z tyłu rakiet, które zamieniły się w strumienie ognia mknące szybko w kierunku wrogich statków. Potwory usiłowały zawrócić i odlecieć. Było już jednak za późno.

– Co to?

– To... To twoje paliwo... – wyszeptał Robb z niedowierzaniem. – Zapaliło się od płomieni wydostających się z dysz rakiet... i teraz...

Jego słowa zagłuszył huk detonacji. Gwiazdery eksplodowały jeden po drugim i ekran rozjaśnił się tak oślepiającym blaskiem, że Margotta musiała odwrócić wzrok.

– Uszliśmy z życiem! – wymamrotał Robb, ale w jego głosie nie było radości. – Wszystko miało się zdarzyć inaczej. Miałem ocalić kogoś ważnego. Taki był plan, ale plan zawiódł i... – Spojrzał na nią z ukosa, po czym dokończył ze smutkiem: – Uratowałem niewłaściwą osobę.

Uratowałeś?! Ty?! Sam siebie uratowałeś, Kosmito! A mnie porwałeś! – chciała mu wykrzyknąć prosto w twarz, ale nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa.

Gardło miała boleśnie ściśnięte, bo powoli docierała do niej straszna prawda. Planeta Margenta stała się sceną jakiegoś przerażającego kosmicznego starcia. Ona, a wraz z nią jej tata, przyjaciele i wszyscy Margentianie znaleźli się w samym środku tej międzygalaktycznej wojny. Do głowy zaczęły jej napływać pytania, na które nie знаła odpowiedzi: Co się stanie z Margentą? Co się stanie z jej tatą... z przyjaciółmi? Co się stanie z nią? Co to były za potwory? Wreszcie, kim jest ten kosmita, o imieniu Robb? Dlaczego ją porwał i co go łączy z tamtymi potworami?

Naraz wibracje silników ustały i na statku zapanowała złowroga cisza. Spojrzała pytająco na Robba. Siedział sztywno ze wzrokiem utkwionym w jakiś punkt. Nie poruszył się, nawet gdy zaczęły gasnąć przyciski na pulpicie sterowniczym. Potem wyłączyły się szafy. Ostatnie zgasły monitory i w

pomieszczeniu nastąpiły nieprzeniknione ciemności. Margotta poczuła paraliżujący strach.

Już gorzej być nie może!

Ledwo to pomyślała, ciszę rozdarł świdrujący pisk. Statkiem szarpnęło, zakręciło i... zaczęli spadać.

– Aaaa! – zaczęła wrzeszczeć z przerażenia Margotta.

– Aaaa! – krzyczał z bezsilności Robb.

– Piiiiiiiiiiii! – wtórował im spadający coraz szybciej w czarną, nieprzenikloną otchłań statek. – Piiiiiii!

Rozdział Pierwszy

Dziwny sen Radka.

– Piiiiiiiiiiiiiiiiiiii!

Radek celnym strzałem dłoni uciszył piszczący głośno budzik. Leżał jeszcze przez chwilę z zamkniętymi oczami, próbując ratować ostatnie obrazy ze swojego snu, lecz te prysły jak bańki mydlane.

– Wstawaj!

Rozległo się pukanie i do pokoju zajrzała mama. Była elegancko ubrana, uczesana i jak zwykle pogodna.

– Jeszcze chwilę. – Ziewnął ostentacyjnie. – Pliz!

Mama uśmiechnęła się, ukazując siateczkę zmarszczek pod oczami i powiedziała ciepłym, ale stanowczym głosem:

– Bo znowu się spóźnisz, a...

A odkrywcy się nie spóźniają! – powtórzył Radek w myślach razem z mamą i westchnął ciężko.

Nieopatrznie się wygadał, że gdy dorośnie, to zostanie kosmicznym odkrywcą i teraz mama powtarzała mu niemal codziennie:

– „Kosmiczni odkrywcy kładą się wcześniej spać”.

Albo:

– „Kosmiczni odkrywcy jedzą ser i piją mleko. Kosmiczni odkrywcy dobrze się uczą i nie psują sobie oczu przed komputerem i telefonem”.

Czasem rzucała z innej beczki:

– „Może byś odkrył, że zlew wypełniony jest brudnymi naczyniami, a podłoga potrzebuje odkurzacza”?

Najgorsze jednak było to, że chłopak, który co rano spoglądał na Radka z lustrzanego odbicia w łazience, w niczym nie przypominał Odkrywcy. Był węższy i słabszy od rówieśników. Nie wyglądał też „spoko” jak przywódca klasowy Koper, czy choćby któryś z członków jego bandy Przeroślaków. Na dodatek nosił imię, którego nie cierpiał.

– Radek, pośpiesz się! – Z kuchni dobiegł ponagląjący głos mamy.

Do szóstego roku życia był Markiem i lubił to imię. Gdy jednak przy zapisach do szkoły zajrzano do dokumentów, okazało się, że o zgrozo wcale nie ma na imię Marek tylko Radek! Jakaż była wtedy w domu chryja! Mama nie odzywała się do taty prawie przez miesiąc. A jeśli już, to tylko po to, by powtarzać jedno słowo: „wina”.

– To twoja wina. Pewnie z tej radości, że masz syna, wypileś za dużo wina i zamiast „Marek”, wybelkotałeś „Radek”.

Tato próbował zwalić winę na urzędnika, że ten musiał źle usłyszeć, bo był głuchy jak pień... Tyle że to przecież nic nie zmieniało. W papierach jak byk stało: „Radek”.

Wszystko przez tę szkołę! – pomyślał, zwlekając się wolno z łóżka, lecz nagle skamieniał. O rany! Dzienniczek do podpisu!

Dwa dni temu stanął na przerwie w obronie jakiegoś pierwszaka. Jeden z Przeroślaków, Tyfus, chciał mu zabrać pieniądze. Radek wcale nie zamierzał odgrywać bohatera. Przeciwnie, już miał się odwrócić jak inni i odejść, gdy coś go podkusiło i krzyknął do Tyfusa „puść go!”. Przeroślak zbaraniał. Tak był zaskoczony tym, że ktoś mu się ośmielił przeciwstawić, że puścił pierwszaka i tamtemu udało się uciec.

Niestety Tyfus szybko doszedł do siebie i spuścił Radkowi łomot. Gorzej, że zobaczyła to wychowawczyni i dla obu skończyło się to uwagą do dzienniczka, którą teraz musiał dać mamie do podpisu.

– Dać do podpisu, dać do podpisu... – powtórzył sobie w myślach, żeby nie zapomnieć.

Postanowił to zrobić w ostatniej chwili, w samych drzwiach. Tak, żeby zaskoczona mama nie miała czasu o nic go wypytywać. Było mu naprawdę głupio. Nie lubił sprawiać jej przykrości. Wiedział, jak ciężko jej było po śmierci taty.

Spojrzał na zegarek i jęknął. Jeśli nie chciał się spóźnić, musiał się spieszyć. Do szkoły miał w sumie niedaleko, ale zawsze szedł naokoło, żeby nie natknąć się przypadkiem na Kopra i jego Przeroślaków. Wrzucił do plecaka przygotowaną

przez mamę kanapkę i wybiegł z domu. Szedł szybko, ale w połowie drogi zaczął odczuwać jakiś dziwny niepokój, więc zwolnił. Jednak im wolniej szedł, tym jego niepokój wzrastał. Przez to z kolei coraz bardziej zwalniał, aż w końcu stanął jak wryty:

– Dzienniczek! – wykrzyknął tak głośno, że mijające go dzieciaki z młodszych klas ominęły go szerokim łukiem.

Zapomniał o podpisie, a teraz mama na pewno wyszła już do pracy. W tej sytuacji pozostało mu tylko jedno:

Wagary!

Wiedział, że to nie było najlepsze wyjście. Właściwie to było rozwiązanie wręcz fatalne. Tyle że nic lepszego w tej chwili nie przychodziło mu do głowy.

Zresztą, pani powiedziała wyraźnie: „Bez podpisu nawet nie pokazuj się w szkole”!

Potem, już po wszystkim, Radek często zastanawiał się, czy wszystkie późniejsze groźne i dramatyczne wypadki przydarzyłyby mu się, gdyby tamtego poranka nie odwrócił się na pięcie i nie wyruszył na wagary? Co by się stało ze światem, gdyby jego uwagi nie przyciągnęła relacja w telewizorach na wystawie Centrum Handlowego z powrotu rakiety z kosmicznym turystą?

Postanowił obejrzeć ją na spokojnie. Przedarł się przez tłum klientów na stoisko RTV, ale news o kosmicznych turystach właśnie się skończył. Zamiast astronautów w srebrzystych kombinezonach i kulistych hełmach, ekran zajmował teraz jakiś rolnik w czapce uszance, z twarzą pooraną jak afrykańska ziemia podczas suszy i z nosem jak kartofel, lub raczej, biorąc pod uwagę jego kolor, jak burak. Obok niego stał redaktor. Był łysiejący, gładko wygolony w ciemnym garniturze i grubych okularach, które ciągle zsuwały mu się z nosa.

– Panie! – Rolnik wyrwał mu z ręki mikrofon i przystawił sobie pod nos. – Ja się dżemłem bynajmniej, a tu jak to nie rypnie!

– „To”, to znaczy UFO? – Padło pytanie redaktora i Radek natychmiast zastrzygł uszami.

– Jakie jufo, bynajmniej? – zachnął się rolnik. – Latający się spodek i kuzmitów, żem zobaczył jak się z niego wygrzebowują...

– Jak sami Państwo widzą... – Redaktor przejął mikrofon i zwrócił się do widzów. – Pan Stanisław...

– Stasiek! Stasiek Pytko z Łącka, bynajmniej! – poprawił go rolnik i zaprezentował w uśmiechu niekompletny garnitur zębów, wśród których jeden błysnął złoto.

– A więc Pan Stasiek – kontynuował niespieszony redaktor – twierdzi, że jako pierwszy Ziemiańin spotkał na Ziemi przedstawicieli obcej cywilizacji!

– Panie, uny były olbrzymie. Jak studoła. Ze dwudziestu ich było. Co ja mówię, z pięćdziesięciu, stu... I cali byli zieloni jak... ło to!

Na potwierdzenie swych słów pochylił się, wyrwał z łąki garść świeżej trawy i zaczął wymachiwać nią Redaktorowi tuż przed samym nosem.

– A czy nawiązał pan Stasiek kontakt z tą... obcą cywilizacją?

W tym momencie Pan Stasiek machnął wiechciem trawy tak nieszczęśliwie, że stracił Redaktorowi okulary. Ten, nie zważając na to, iż relacja leci „na żywo”, padł na kolana i zaczął szukać swoich szkieł w trawie. Przytomny operator skierował natychmiast obiektyw kamery na pyski dwóch przeżuwających nieopodal trawę krów. A ponieważ pan Stasiek i redaktor nie przerwali rozmowy, na ekranach telewizorów w całym kraju wyglądało to tak, jakby w telewizji występowały... gadające krowy!

– Pewnie, żem nawiązał kontakt z tą obcą cywilizacją, bynajmniej! – odezwała się głosem Pana Staśka krowa w czerwone łąty ze srebrnym dzwonkiem na szyi. – Muuu! Butelką!

– Poczęstował ich pan Stasiek herbatką? Muuu? – odryknęła głosem redaktora druga krowa, czarnobiała z wielkim kolczykiem w uchu.

– Jaką herbatką? – zachnęła się głosem pana Staśka krowa z dzwonkiem na szyi. – Przecie mówię, żem butelką ich poczęstował. Jak żem nią rypnął tego pierwszego bez ten zielony łeb...

Kolejne brednie. – Radek się skrzywił i jego zainteresowanie prysło jak bańka mydlana. Już chciał się odwrócić i wycofać, lecz wtedy jego uwagę przykuł wyraźny szept za plecami.

– To on był zielony! Ze strachu...

– Ucichnij! – zbeształ go drugi głos. – Bo jeszcze ktoś usłyszy.

– Nic ci nie zrobił? Naprawdę mocno ci przylał.

Z brzmienia tego szeptu Radek wywnioskował, że należał on do dziewczyny. Odpowiadał jej niższy głos, będący najwyraźniej własnością jakiegoś chłopaka.

– Mam twardą głowę.

– Szkoda! – Dziewczyna syknęła jak żmija. – Ja bym cię walnęła dużo mocniej niż ten cały pan Stasiek.

Radek aż gwizdnął w duchu z uciechy.

Jakieś niezłe typki. Taki kawał zrobić biednemu chłopu. Pewnie pomalowali się na zielono i udawali kosmitów. Może mu jeszcze ślady w zbożu wydeptali... – pomyślał i jeszcze uważniej nastawił uszu.

– Idziemy! – wyszeptał chłopak rozkazująco.

– Ciekawe dokąd? – prychnęła dziewczyna całkiem głośno i wyraźnie.

– Nie wiem... – odpowiedział jej chłopak tak samo już wyraźnie. – Przed siebie. Tylko żebyś nie próbowała umykać!

Radek omal nie krzyknął z wrażenia. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Przecież on znał te głosy!

Nie! To niemożliwe! Czyżbym zaczynał wariować?

Odwrócił się gwałtownie, jednak za nim nikogo już nie było. Ruszył szybko w kierunku wyjścia, by ich dogonić. Przedzierał się przez tłum i potrącając ludzi, rozglądał się gorączkowo, lecz nigdzie nie dostrzegał nikogo niezwykłego.

Co się z nimi stało? – zastanawiał się, wybiegając na ulicę. Przecież nie rozplynęli się w powietrzu!

Jego uwagę zwróciło szczekanie psa dobiegające zza zakrętu. Był to jedyny element, który zakłócał panujący wkoło spokój. Ruszył biegiem w tamtym kierunku i za rogiem stanął jak wryty. Środkiem chodnika szedł sztywnym krokiem wysoki,

gładko przylizany chłopak w szarym, pomiętym kombinezonie. Prowadził, a właściwie ciągnął za sobą szczupłą dziewczynę w wybrudzonej sukience, z imponującą szopą jaskrawo-rudych włosów. Tę dziwną dwójkę obszczekiwał łaciaty piesek z gatunku małych jazgotliwych kundli. Pod Radkiem z wrażenia ugięły się kolana. Przecież znał tę dwójkę, to był Robb i Margotta, postacie z jego snu.

Kiedy tylko odzyskał władzę w nogach, postanowił pójść za nimi, bo nic sensowniejszego nie przychodziło mu na razie do głowy. Był tak podekscytowany, że z początku nie zwrócił uwagi na kundla, który zaczął teraz tarosić jego nogawkę. Dopiero gdy dziabnął go boleśnie w łydkę, trzepnął nogą tak energicznie, że pies odpadł z głośnym skowytym. I to był błąd, bo Robb się obejrzał. Radek w panice odwrócił się i zaczął udawać, że czyta przyklejony do słupa ogłoszeniowego pstrokaty afisz: „CYRK PAMPINI – WYSTĘPY CLOWNÓW I ARTYSTÓW, SZTUKI MAGICZNE, MROŻĄCE KREW W ŻYŁACH AKROBACJE I EGZOTYCZNE ZWIERZĘTA”.

Chyba mnie zauważył – zmartwił się, kiedy Robb wyraźnie przyspieszył kroku.

Jeśli nie chciał ich zgubić, musiał iść szybciej. W połowie ulicy stanął nagle, uderzony przedziwną myślą: „A może... ja jeszcze śpię i to wszystko mi się po prostu śni”? Otrzeźwił go głośny pisk opon. Kątem oka zdołał jeszcze ujrzeć sunący prosto na siebie samochód, a w nim przerażoną twarz kierowcy. Zacisnął kurczowo powieki i poczuł rwący ból.

Boli! – jak błyskawica przeleciało mu przez głowę. Czyli nie spałem. A to znaczy, że właśnie zostałem przejechany przez samochód i już nie żyję!

– Czego chcesz?! – Rozległ się nad nim twardo brzmiący głos.

Niezbyt uprzejme przywitanie – przemknęło mu przez głowę. Więc do Nieba raczej nie trafiłem.

Powoli otworzył najpierw jedno, potem drugie oko. Dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że spod kół samochodu wyrwał go ten Robb, tyle że nie miał pojęcia jak mógł to zrobić tak szybko.

– Dlaczego za nami podążasz? – syknął mu tamten do ucha. – Kto cię nasłał?
Radek nie odpowiedział, łypnął tylko kątem oka na Margottę. Dziewczyna taksowała go uważnie wzrokiem.

Jak ona musi się czuć? – przemknęło mu przez głowę. W obcym świecie...
Samotna... Porwana przez tego... Kosmitę!

Wstał powoli.

– Chcę... pomóc. – Zwrócił się bardziej do Margotty niż do Robba.

Próbował nadać swojemu głosowi zdecydowane brzmienie, ale tylko zapiał jak kogut na płocie.

Robb spojrział na niego nieufnie i stanął tak, żeby całym sobą zasłonić Margottę.

– Pomóc? Ty nie możesz pomóc, tylko sprowadzić kłopoty. Ostaw nas w spokoju! Nic o nas nie wiesz!

– A właśnie, że wiem! Wiem, że jesteście z bar-rdzo daleka...

Zawsze, kiedy się denerwował, zaczynał się jąkać. Nawet w myślach. Rodzice próbowali go z tego wyleczyć u doktora Mąki. Staruszek znęcał się nad nim przez kilka miesięcy, ale nic to nie dało.

– Ależ dało! – tłumaczył mamie doktor Mąka. – Jeszcze jak pomogło, kochaneczku! – Tak zwracał się do wszystkich, niezależnie od płci i wieku. – On już się nie jąka tylko... zacina!

Więc teraz zacinając się, wydusił z siebie:

– I jeszcze wiem, że o-ona... Na imię ma... Mamargotta!

Oczy Margotty w sekundzie rozbłysły jak żarówki.

– I wie-wiem jeszcze – dokończył, niemal dusząc się już z braku powietrza – że ją po-po-porwałeś!

Zapadła długa cisza. Radek, choć brakowało mu tchu, bał się nawet odetchnąć.

– Mamargotta? – Robb spojrział zdziwiony na dziewczynę i Radkowi zdało się, że jej twarz okrył rumieniec.

Zaczerpnął powietrza i wydukał:

– Mówiłem, że was znam... Musisz ją wy-wypuścić!

– Mylisz się, nie znasz! – odezwał się Robb stanowczo. – Wcale jej nie porwałem, a jej nie zwą Mamargotta tylko Kalilla!

Na dźwięk tego imienia Margotta skrzywiła się, jakby połknęła cytrynę. Albo więcej, cały kilogram cytryn, w dodatku posypanych papryką i pieprzem.

No tak, przecież Margotta skłamała, że ma na imię Kalilla! – Radek przypomniał sobie fragment swojego snu.

Już otwierał usta, żeby to wyjaśnić, gdy...

– Radek jękał! – Rozległ się za jego plecami nieprzyjemny skrzek, brzmiący tak, jakby ktoś przejechał styropianem po szkłe. – Z lekcji się zwiąło, co? Oj, nieładnie!

Nie musiał się nawet odwracać, bo i bez tego wiedział, do kogo należał ten głos.

Ko... Koper! I Przeroślaki! Tylko ich tu bra... kowało!

Koper zrzucił z głowy kaptur od dresu i zaczął lustrować zaczepnym wzrokiem Margottę i Robba. To samo od razu uczyniły Przeroślaki.

– A to, co za małpy? Z cyrku, żeś uciekła ruda, czy co?!

Koper zrobił do Margotty małą minę i podrapał się lewą ręką po głowie, a prawą pod pachą. Przeroślaki jak na komendę zarechotały.

– Chłopaki, jaki to gatunek? – Koper wyraźnie się nakręcał. – Chyba pawian?

– A mosze... – wyseplenił Żarów – kapucynka, nie Koper?

– To niech zatańczy!

Koper wyciągnął ręce w kierunku Margotty, ale Robb był szybszy. Złapał go błyskawicznie za przeguby i odezwał się stanowczo:

– Odstąpcie stąd!

Takiego obrotu sprawy Koper najwidoczniej się nie spodziewał. Dotąd nikt nie śmiał mu się przeciwstawić, zwłaszcza w obecności Przeroślaków. W jednej chwili uśmiech zniknął mu z twarzy. Próbował szarpnąć się i wyrwać ręce, ale Robb ścisnął je jak w imadle. Koper skrzywił się z bólu, a w jego oczach widać było rosnącą panikę. Zaczął szukać wsparcia u członków swojej bandy, jednak

Przeroślaki w jednej chwili straciły cały rezon i miały jeszcze głupsze i bardziej wystraszone miny niż on.

– Puść... – jęknął w końcu Koper niemal prosząco.

– To ostaw nas w spokoju! – powtórzył Robb i zwolnił uścisk.

Koper cofnął się i wśród Przeroślaków od razu poczuł się raźniej. Wykrzywił pogardliwie usta i zaczął przedrzeźniać Robba:

– „Odstąpcie”... To nawet potrafi mówić... Widać to nie małpy, ale jakieś klauny widocznie... – Przywódca Przeroślaków chciał się zaśmiać, ale tylko zabeczał nerwowo jak baran. – Teraz to nie mamy czasu chłopaki, no nie?

– No! – skwapliwie potwierdziły pozostałe Przeroślaki.

– Ale jeszcze się spotkamy! To do następnego, klauny! – rzucił Koper z groźbą w głosie i na odchodnym pchnął Radka tak mocno, że ten zatoczył się do tyłu, następnie potknął o krawężnik i wyciągnął na chodniku jak długi.

Robb popatrzył na niego z góry z politowaniem.

– I ty chciałeś nam pomóc? Mówiłem, że możesz sprowadzić tylko kłopoty. Ty też ostaw nas w spokoju!

Złapał Margottę za rękę i pociągnął za sobą w głąb ulicy. Radek patrzył bezradnie, jak odchodzą. Jednak zanim zniknęli za zakrętem, dziewczyna obejrzała się i ich spojrzenia się spotkały. Trwało to krócej niż sekundę, lecz Radek mógłby przysiąc, że w jej zielonych oczach wyczytał przerażenie oraz nieme błaganie o pomoc.

Rozdział Drugi

Inwazja Scalorów.

1.

– Wyraźnie rozkazałem, że nikt nie ma prawa wymknąć się z Margenty! Nikt! – Roton miotał gromy przed Bazylicem, Żujem, Ptakojem i Gliździochem.

Scalory ledwo uszły z życiem z kosmicznego starcia, wróciły jednak do bazy w opłakanym stanie i teraz kulily się ze strachu przed pieklącym się Masterem.

– Nikt! Nikt! Nikt! – Wściekał się dalej Roton, zdzierając gwałtownymi szarpnięciami plastry, którymi potwory pozaklejały po powrocie rany i oparzenia na swoich pyskach. – A wy co?!

– My... całą p-planetę op-panowaliśmy!

– Pod-bili-śmy. Ograbili...

– ...śmy! I zamrozili...

– ...śmy! – pojękiwały na przemian Scalory, wchodząc sobie w słowo i obmacując obolałe paszcze.

W popalonych kombinezonach i z pokancerowanymi pyskami nie przypominały już bojowych adiutantów.

– Mam gdzieś tę planetę! – Roton huknął sztuczną dłonią w blat sterowniczy, aż wszystko w pomieszczeniu zadrżało. – Ja chcę władzy nad całym Wszechświatem, a przez was piedestały wszystko może pójść na marne! Dlatego, że komuś udało się uciec!

– Ależ Master! – Żuj odważył się wystąpić przed szereg. – Przecież to tylko dwójka jakichś margentiańskich małych istot nędznych, nie chłopaki?

Scalory przytaknęły skwapliwie poparzonymi pyskami.

– Nie ma się czym przejmować... – kontynuował coraz pewniej, dzięki poparciu pozostałych potworów, Żuj: – Ich na własne ślepia widzieliśmy. Istoty małe i słabe to... jakieś zwykłe dzieciaki...

– Które was pokonały i rozwalily w proch gwiazdery! – przerwał mu Roton tak gwałtownie, że Żuj w jednej chwili zapomniał o całej swojej odwadze i w

popłochu wycofał się do szeregu. – I mimo że nikt nie miał prawa ocaleć, to te „małe i słabe”, jak mówicie, „istoty”, wymknęły się... i uratowały. Tak jak to ponoć przepowiada legenda!

Słowo „legenda” Roton wypowiedział z takim namaszczeniem, że w szeregu Scalorów od razu zapanowało nerwowe poruszenie.

– Legenda? Jaka legenda, Master? Legenda jaka? – przekrzykiwały się jeden przez drugiego.

– Legenda o zaklęciu... Kedara.

W przeciwieństwie do nieufnego sposobu, w jaki wypowiedział słowo „legenda”, to zniechęcone imię Roton wyrzekł z największym obrzydzeniem.

– Oooo! Legenda o zaklęciu Kedara?

Scalory ze zdziwienia rozwarły paszczęki i wybałuszyły groźne ślepia, w których teraz dało się zauważyć niepewność i strach. Master nigdy wcześniej nie wspominał o żadnej legendzie.

A jeśli ta legenda mówi prawdę? – zamyślił się teraz Roton.

Dotąd zupełnie się nią nie przejmował. Owszem, słyszał coś o niej od swojego nauczyciela, Mastera Krotona, ale całkiem zbagatelizował jego przestrogi i nawet nie zadał sobie trudu, żeby dokładniej zgłębić jej treść. W końcu od śmierci Kedara minęło już tyle rotowieków i teraz on, Roton, był najpotężniejszym czarnoksiężnikiem, więc myślał, iż na jakiejś małej planecie Margencie błakającej się gdzieś po peryferiach Kosmosu może czaić się jakieś niebezpieczeństwo, wydawała mu się całkiem niedorzeczna. Dlatego skoncentrował się wyłącznie na samym zaklęciu, które miało go uczynić panem Wszechświata. Miał tylko trzy próby jego wypowiedzenia. Dwie pierwsze skończyły się niepowodzeniem i zostało mu trzecie, ostatnie podejście. W miarę jednak jak zbliżał się czas tej ostatniej próby, zaczęły go nawiedzać nocne niepokoje. A wczoraj o północy przyśniła mu się planeta Margenta. Zerwał się zlany potem i wtedy przypomniał sobie o legendzie oraz ostrzeżeniach swojego nauczyciela. Na wszelki wypadek rozkazał Scalorom zaatakować tę planetę. Nie przewidywał żadnych niespodzianek, gdyż siła rażenia jego rakiet była miażdżąca. Tymczasem stało się coś zupełnie niewytłumaczalnego,

tajemniczego i groźnego. Wręcz magicznego! Bo komuś udało się jednak wymknąć, przed czym tak upominał go Kroton!

Czy to możliwe, że na Margencie coś się przyczaiło? Jakaś moc tajemna? Tak potężna, że nawet kiedy odgadnę ostatnią literę zaklęcia, wypowiem je i zdobędę władzę nad światem, wtedy to przyczajone i nieznane „coś” będzie mogło mi ją odebrać? A jeśli tym „czymś” są właśnie ci uciekinierzy? Jeśli to oni są tą mocą, właśnie niezamierzenie przeze mnie uwolnioną?

Pod wpływem tych przerażających myśli Roton postanowił pochylić się nad „Księgą legend” i dogłębnie przestudiować tę o zaklęciu Kedara. Stukając rytmicznie sztuczną nogą o metalowe stopnie, wspiął się pośpiesznie na sam szczyt schodów, które prowadziły do wielkiego gabinetu. Zanim zniknął w jego czeluściach, zatrzymał się i rozkazał Scalorom ponurym głosem:

– Daję wam pół rotogodziny. Macie odszukać uciekinierów gdziekolwiek by się nie zaszyli w bezgranicznym Kosmosie!

2.

„To najstarsza ze wszystkich znanych legend. Legenda o zaklęciu Kedara, najpotężniejszego czarnoksiężnika, który swą moc otrzymał podobno od samej Pramatki Katylli. Mistrz Kedar żył rotowieki temu w okazałym, kamiennym zamczysku, na dworze króla Zedjusza, władcy planety Margenty. Kedar nie uznawał czarnej, złej magii. Był mistrzem magii dobrej, białej. Dlatego lepszym określeniem dla niego byłoby słowo „białoksiężnik”. To nawet pasowało do jego szat i wyglądu: długiego białego płaszcza, na tyle obszernego, by ukryć pod nim wydatny brzuch, oraz całkiem siwych włosów, wąsów i brody, które okalały jego rumianą twarz. Mistrz kochał świat. Uważał, że jest on dobry i piękny, ale wiedział też, że między dobrem a złem, pięknem a szpetotą, światłem a ciemnością, wreszcie miłością a nienawiścią rozciąga się bardzo cienka granica. Tak cienka, że niekiedy można jej wcale nie zauważyć, przekroczyć ją mimochodem i znaleźć się po tej złej, szpetnej, ciemnej i nienawistnej stronie.

Na co dzień Kedar zajmował się konstruowaniem różnych, ułatwiających ludziom życie wynalazków. Do pomocy w tym miał ucznia. Był to dobry młodzieniec, o niewinnej twarzy i szczerym spojrzeniu. Na imię miał...”

– Zorran! – wyszeptał Roton z namaszczeniem i oderwał wilgotne ze wzruszenia oczy od książki Legend.

Było to ciężkie dzieło. Wolumin ważył chyba ze trzydzieści rotokilogramów, spisany był na szlachetnym pergaminie i oprawny w wysadzaną szlachetnymi kamieniami skórę mrówkoja.

„Zorran był zdolnym uczniem”. – Master powrócił do czytania. – „Tyle że w gorącej wodzie kąpanym. Wszędzie wtykał swój zadarty nos i zadawał wiele, często zbyt wiele jak na cierpliwość starego Mistrza pytań. Jak choćby teraz:

– Co konstruujesz tym razem Mistrzu?

– Trans... for... mator. – wycedził skupiony na robocie Kedar.

Próbował właśnie wbić miedziany gwóźdź, ten jednak postanowił się krzywić i wypadać.

– A do czego ma służyć ten transfor... mator?

Zorran nachylił się ciekawie, zasłaniając Kedarowi całe światło.

– Do zmiany postaci a! – jęknął Mistrz, bo zamiast w gwóźdź trafił młotkiem w swój palec.

– A co to takiego ta „zmiana postacia!?” – drążył dalej Zorran i Kedar nabral podejrzeń, że uczeń naigrywa się z niego.

Postanowił więc dać mu nauczkę.

– Dotąd miałeś postać Zorrana, prawda? – spytał, a dziwny uśmiech błąkał mu się po twarzy.

Kiedy uczeń przytaknął, Mistrz nakierował na niego dyszę transformatora. Wcisnął wystający z boku guzik i zapytał z niewinnym uśmiechem:

– A teraz jaką masz postać, Zorranie?

Oj, nie udał się Mistrzowi wynalazek! – pomyślał uczeń z zawodem.

Oczekiwał na jakiś błysk, czy huk. A tu nic! Chciał się zaśmiać, ale z jego gardła wydobył się tylko nieartykułowany kwik.

– Quikkphrr!

Spanikowany spojrział w lustro – najnowszy i w dodatku supertajny wynalazek Mistrza, którego jedyny istniejący egzemplarz wisiał w pracowni Kedara – i przeraził się nie na żarty. Zamiast swojej twarzy ujrzał obleśny, pokryty liszajami i brodawkami pysk małpakka! Zakwiczał z przerażenia i pogalopował w panice, gdzie ślepa poniosą. Tam zaszył się tak, że odnaleziono go ledwo żywego dopiero po margetygodniu.

Od tamtego wydarzenia minęło kilka margemiesięcy, Zorran się wyciszył i zdawało się, że przygoda z transformatorem, zanim poszła szczęśliwie w zapomnienie, czegoś go nauczyła. Jednak spokój Kedara nie trwał zbyt długo. Pewnego dnia uczeń wpadł jak wiosenna burza do pracowni nauczyciela, a oczy mu pałały podejrzanym blaskiem.

– Mistrzu! Czy mógłbyś mi zdradzić przepis na... napój na miłość?

Kedar oderwał się od pracy nad kolejnym wynalazkiem i spojrział na ucznia niezbyt przytomnym wzrokiem.

– Napój na co? – spytał.

– Na miłość! – powtórzył Zorran z naciskiem. – Bo kocham księżniczkę Mirellę, ale ona nawet mnie nie zauważa. Więc chcę zdobyć jej serce jakimś sposobem.

Zafrasowany nauczyciel przeczesał palcami siwą brodę. Już wcześniej zauważył, iż jego uczeń czuje do córki króla Zedjusza coś więcej, niż tylko przyjaźń. Nie było nic w tym dziwnego. Księżniczka Mirella była mądrym i wesołym dziewczęciem, smukłym i wiotkim, z twarzą o delikatnych rysach i jasnej skórze. Miała oczy koloru marantowomigrowego, a jasnocatangowe włosy spływały jej na ramiona jak górski wodospad spieniony na kamieniach. Szkopuł w tym, że zupełnie nie odwzajemniała uczuć Zorrana.

– Nie bardzo się wyznaję w tych kwestiach, ale może musisz się lepiej postarać. – Mistrz poskrobał się palcem w policzek. – Być mądrym, dzielnym i dobrym dla Mirelli. – Chrząknął. – Wtedy... – Odkaszlnął. – Być może... – Przetarł okulary. – Pokocha cię... Kiedyś.

– Być może... Kiedyś... Tratatata tu mi lata! – Zorran małpakkował Mistrza.
– Prościej przygotować jakiś napój... miksturę, żeby wypić i pokochała mnie od razu.

– Ale to byłoby wbrew jej woli – obruszył się Mistrz. – To nie byłaby miłość.
– Dla mnie by była! – wykrzyknął Zorran, a w jego oczach po raz pierwszy pojawił się niepokojący, ciemny błysk”.

– Master Zorran i jakaś tam... „miłość”! Co za brednie! – wymruczał Roton i z obrzydzeniem odsunął Księgę legend od oczu.

Był poirytowany i dezorientowany. Już chciał w ogóle cisnąć dzieło o legendach w ką, gdy przypomniał sobie o uciekinierach z Margenty.

– To nie mogą być zwykłe dzieciaki. Najpierw udało im się wymknąć, mimo zmasowanego ostrzału, a potem rozbić w puch Scalory... Kto wie, do czego są jeszcze zdolni.

Odpowiedź musiała się kryć na kartach tego woluminu. Dlatego powrócił do księgi, przerzucił pośpiesznie kilka kart i ponownie zagłębił się w lekturze.

– „Zdobycie czyjejś miłości podstępem jest niegodziwe. Dlatego przepisy na takie mikstury można znaleźć tylko w księgach do czarnej magii. A czarna magia to straszne, niewyobrażalne zło! Kto raz tego spróbuje, już nigdy nie będzie mógł przestać – ostrzegł Mistrz Zorrana w nadziei, że jego przestrogi odniosą skutek.

Nawet nie przypuszczał, jak bardzo się mylił. Pewnego margednia zauważył brak księgi do czarnej magii. Zawsze stała na najwyższej półce jego wielkiej biblioteki. W pierwszej chwili pomyślał, że jednak położył ją w innym miejscu. Rozejrzał się, lecz nigdzie jej nie było. Zaczął poszukiwania i kiedy sprawdzał na parapecie, przypadkiem wyjrzał przez okno. Był piękny, ciepły poranek. Właśnie rozpoczęła się pora dwóch słońc i wszystko budziło się do życia. W opromienionym ogrodzie ujrzał księżniczkę Mirellę. Stała pod drzewem zasłuchana w śpiew ptaszaków, kiedy podszedł do niej Zorran i podał jej szklanicę pełną musującego płynu koloru wściekle migrowego. Kedar od razu domyślił się, co to za napój i skąd jego uczeń wziął na niego przepis.

– Nie pij tego! – krzyknął przez okno.

Było już jednak za późno, bo spragniona Mirella wychyliła szklanicę do dna. Wtedy Zorran padł przed nią na kolana i gestykulując ekspresyjnie, zaczął do niej przemawiać, a oczy płonęły mu jak w gorączce. W pewnej chwili księżniczka złapała się za głowę i bezwładnie osunęła na glebbę. Przeżyła, ale była o krok od śmierci i potem długo wracała do zdrowia.

Miarka się przebrała, gdy jeszcze tego samego dnia wieczorem, zaintrygowany ustaniem trelu ptaszaków Mistrz wyszedł do ogrodu. Dostrzegł tam Zorrana. Wymierzył do czegoś z transformatora i zanim Mistrz zdążył cokolwiek zrobić, nacisnął spust. Z drzewa ze stukotem spadł na trawę ostatni ptaszak zamieniony... w kamień”.

– Już wtedy kiełkowało w tobie zło, Masterze!

Roton oderwał oczy od książki i jego wzrok powędrował bezwiednie w kąt gabinetu, by się zatrzymać na niepozornej walizce pozamykanej na stalowe zatrzaski.

– Zorran właśnie odkrył to, czego Kedar nawet nie podejrzewał... – wyszeptał z nabożeństwem i jego twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. – Pod postacią transformatora skonstruował najstraszniejszy we Wszechświecie wynalazek: likwidator!

„Mistrz był przerażony”. – Roton zanurzył się w dalszej lekturze. – „Do tej pory zło było dla niego czymś zewnętrznym, w dodatku odległym. Istniało, czy to jako kosmiczne huragany pustoszące od czasu do czasu którąś z planet, czy choćby pod postacią potworów zamieszkujących Mgławicę Czarnej Wiru. Teraz Kedar zrozumiał, że zło nadeszło i zapukało do jego drzwi. Wśliznęło się bez zaproszenia i załęgło podstępnie w duszy jego ukochanego ucznia Zorrana. Wstrząśnięty tym odkryciem nauczyciel wpadł na pewną myśl i postanowił działać. Zasył się w swojej zagraconej księgami i wynalazkami pracowni, by wymyślić formułę zaklęcia, które miało mu dać nieskończoną władzę nad światem. Wszechmoc taką, by mógł chronić ten świat przed wszelkim złem. Jednak ledwo zabrał się do tej pracy, przeszła go inna, ostra niczym kindżał myśl:

Co by się stało, gdyby ktoś... – Kedar nie miał odwagi przyznać przed sobą, że miał tu na myśli Zorrana. Więc gdyby ktoś wykradł moje zaklęcie, a następnie użył go nie przeciwko złu, ale w jego imieniu, a w dodatku nikt nie mógłby potem tego zła cofnąć?

Ta konstatacja tak go przeraziła, że ustanowił pewne zabezpieczenie, aby zaklęcie można było wypowiedzieć na zasadzie „do trzech razy sztuka”. Jednak to wydało mu się niewystarczające, dlatego postanowił równocześnie z poszukiwaniami zaklęcia rozpocząć pracę nad antidotum, formułą zdolną w każdej chwili unieważnić główne zaklęcie”.

– Przeciwwzaklęcie! – wyszeptał pobladłymi wargami Roton.

Czuł, że wreszcie doszedł do sedna. Dotarł do tego, czego szukał: do całej prawdy o zaklęciu Kedara, więc z jeszcze większą uwagą wczytał się w księgę legend:

„Mistrz harował teraz jeszcze ciężiej, bez snu i jedzenia. Wkrótce zbliżył się na wyciągnięcie ręki do odkrycia formuły zaklęcia, jednak droga do przeciwwzaklęcia wciąż zasnuta była nieprzeniknioną mgłą.

– Bez ochrony przeciwwzaklęcia, samo zaklęcie stanowi zbyt wielkie zagrożenie dla świata – wyszeptał pewnego dnia ledwo już żywy z wyczerpania. – Niech więc ono przepadnie!

Chwycił w dłonie karty pergaminów wypełnione ciągami liter i zaczął je drzeć, a strzępy wyrzucać przez okno na wiatr. Gdy wziął ostatni pergamin, wykaligrafowane na niej litery nagle poruszyły się i uformowały długi warkocz, który zaczął wić się, sycząc jak wężowiec, by w pewnej chwili się skręcić, uchwycić swój ogon w pysk i zacząć się samemu pożerać...

W tym momencie Kedar się obudził. Był cały zlany potem. Głowę złożoną miał na pergaminach, które znajdowały się w nienaruszonym stanie. Wtedy zrozumiał, że to był prawdziwie proroczy sen, który odsłonił przed nim formułę zaklęcia i przeciwwzaklęcia! Wyjął masywny medalion z kosmicznego kamienia, podgrzał go, a potem, litera po literze, wyrył na nim zaklęcie Kedara. Kiedy kamień

stwardniał na stal, zajął się opracowaniem planu na wypadek, gdyby zakłęcie dostało się w niepowołane ręce...”

To tylko legenda! – Roton próbował się pocieszyć, ocierając cieknący mu obficie z czoła pot. Lecz przecież w każdej legendzie jest ziarno prawdy. Co, jeśli oprócz zakłęcia Kedara rzeczywiście istnieje to przeciwzakłęcie i jakiś plan?

Wtedy, nawet gdy mu się uda odgadnąć ostatnią literę, wypowiedzieć Zakłęcie i zostać panem Wszechświata, zawsze będzie żył w poczuciu zagrożenia, że gdzieś tam w Kosmosie może się czaić ktoś, kto poznał przeciwzakłęcie i w każdej chwili może mu jego władzę nad światem odebrać. Choćby ci uciekinierzy z Margenty...

Przeklęty Kedar, niech go nicość pochłonie! No tak... – Gorzki uśmiech zagościł nagle na jego twarzy. Przecież już go pochłonęła. To teraz musi pochłonać tę dwójkę!

Roton urwał myśl, gdyż z dołu dobiegły do niego dziwne odgłosy. Zaniepokojony odłożył księgę Legend i pośpiesznie zszedł do sali dowodzenia. Istotnie działo się tu coś złego. Na centralnym ekranie, zamiast obrazu Kosmosu z planetami, galaktykami i gwiazdami przesuwwały się z góry na dół paski zakłóceń. Równocześnie z głośników wydobywały się zaszumione dźwięki jakiejś rozmowy:

– To, to znaczy UFO? – Padło czyjeś pytanie.

– Jakie jufo, bynajmniej! – Zaszumiało w odpowiedzi. – Latający spodek panie... i Kuzmitów, żem zobaczył, jak się z niego wygrzebują...

Scalory na widok Mastera zadrżały ze strachu. Najbardziej przeraził się Bazylich.

– Master, ja tę antenę potraciłem, ja! – wyryczał. – Stąd głosy te, to wina moja, zaraz poprawię.

Ruszył ciężko w kierunku anteny, ale Roton powstrzymał go zdecydowanym gestem. Z zadziwiającą zwinnością podskoczył do talerza i zaczął nim kręcić we wszystkie strony. Gdy przesunął go w lewo, paski znikły i pojawił się obraz. Przedstawiał dwie rogate istoty, całe pokryte krótką sierścią. Pierwsza z nich była

czarnobiała, z dużym kolczykiem w uchu, druga zaś miała ciemno-catangowe łąty i dzwonek dyndający u szyi.

– Wyglądają jak my całkiem! – sapnął do Bazylicha Żuj. – I jakby coś mówić potrafią. Też jak my.

– Pewnie, żem nawiązał kontakt z tą obcą cywilizacją, bynajmniej! Muuu! Butelką! – odezwała się istota z dzwonkiem u szyi, na co odryknęła jej istota zakolczykowana: – Poczęstował ich Pan Stasiak herbatką, muuu?

Roton z radości tupnął protezą nogi w podłogę.

– To przecież o nich! – wykrzyknął, aż Scalory się wzdrygnęły. – O zbiegach! Myśleli, że uda im się uciec, ale nie ma takiego miejsca w Kosmosie, gdzie mogliby się przede mną schronić!

Wystukał coś szybko palcami zdrowej dłoni na klawiaturze pokładowego komputera i wcisnął „Enter”. Rozległ się cichy sygnał dźwiękowy, po czym w rogu jednego z ekranów pojawiła się mała lupa. Za każdym kolejnym stuknięciem w klawisz „Enter” lupa powiększała wybrany obszar Wszechświata. W pewnym momencie na monitorze ukazał się... Układ Słoneczny, a w nim niewielka planeta:

– „Ziemia...” – Bezbarwnym głosem poinformował pokładowy komputer. – „Trzecia od Słońca planeta Układu Słonecznego. Wykryto ślady życia, w tym rozumnego. Planeta zamieszkała jest przez istoty inteligentne zwane ludźmi i nierozumne zwierzęta...”.

– Na tej Ziemi... – wysyczał znów do Gliździocha Żuj – jest odwrotnie niż u nas wszystko. Tacy jak my... owłosieni, czworonożni i rogaci to ludzie. Ze sobą rozmawiają i istotami inteligentnymi są. Za to dwunożne, dwuręczne... i bezrozumne zwierzęta wyglądają zupełnie jak...

Żuj zamilkł i ślepiami wskazał na Rotona. Ten gest nie uszedł to uwagi Mastera. Zmroził Żuja wzrokiem i rozkazał:

– Za nimi! Do zapasowej rakiety, bo gwiazdery już rozbiliście, sztalugi jedne!

Nie było chwili do stracenia, dlatego postanowił, że rozliczy się z Żujem później, już na spokojnie.

– Tak jest Masterze Rotonie!

– Istoty inteligentne! – mruknął pod nosem czarnoksiężnik i skrzywił się z niesmakiem, obserwując, jak Scalory zmieniają popalone kombinezony na nowe. Kiedy już usadowiły się w rakiecie, rozkazał: – Kierunek Ziemia!

Zapasowa rakietka wypuła z siebie potężną porcję dymu i ognia. Zadrżała, po czym zaczęła wznosić się majestatycznie w przestrzeń kosmiczną.

– Wiecie, co robić. Tylko pamiętajcie. Nikt was nie może zauważyć! – Roton wydawał Scalorom ostatnie instrukcje. – Macie wtopić się w tło. Żadnego zamieszania! Żadnych strzałów, palenia czy mrożenia... Bo wszystko zepsujecie! Wasz cel: dorwać ich! A wtedy...

– Co wtedy? – podchwyciły służalczo Scalory i wślepily się w ekran na pulpicie, na którym wyświetlała się im twarz Rotona. – No, co Masterze?

Roton przyłożył do szyi protezę lewej dłoni i bardzo powoli przeciągnął ją po szyi. Zaskrzypiało, a na skórze pojawiła mu się szeroka, krwawa pręga. W tym momencie rakietka wleciała w prowadzący do Ziemi tunel przyspieszeń i łączność wideo się urwała.

3.

Na polanę przed dom Pana Staśka zajechał z fantazją duży samochód z napisem „Telewizja”. Zatrzymał się gwałtownie i ze środka wygramolił się znajomy już redaktor, a za nim cała ekipa telewizyjna: operator z kamerą i dźwiękowiec z mikrofonem na tyczce. Na ich widok z domu wybiegł gospodarz. Wymachiwał na wszystkie strony rękami i wykrzykiwał:

– Zadzwoń! bo jak se leżałem i myślałem, to panie redaktorze jak tu nie łupnie! Podskakuję do łokna i widzę! Rakietka całkiem jak mój kombajn, tylko wienkszo. I potwory z niej wyłażą, bynajmniej!

– Rakietka?

Redaktor zaczął się ciekawie rozglądać.

– Ło tam!

Pan Stasiak złapał za obiektyw telewizyjnej kamery i siłą skierował ją na środek polany. Redaktor skrzywił się wyraźnie zawiedziony, bo zauważył na niej jedynie świeżo zrytą ziemię.

– Tam? Przecież, jak sami widzowie mogą się przekonać, tam nic nie ma. Żadnej rakiety.

– Bo ją znikli! – Pan Stasiak znów chwycił kamerę i energicznym ruchem odwrócił ją na siebie. – Hej, Ziemianie... To znaczy wy, ludzie! Inwazja! Inwazja! – wykrzykiwał, zapluwając z przejścia obiektyw. – Tu się po moim polu bez zgody mojej ani zapłaty cztery kosmity potworne panoszą! Ale ja, Stasiak... Znaczą się pan Stanisław...

– Ależ proszę państwa... – Redaktor wsunął się na wizję przed rolnika. – Na razie nie ma żadnych dowodów...

– A gdzie trawa?! Też znikli! Łopatom, bynajmniej! – Nie dawał za wygraną Pan Stasiak. – Widziołem na własne oczy... I moja Maryśka też widziała!

– To znaczy... Jest jakiś świadek? – zaciekawił się natychmiast Redaktor i zamienił porozumiewawcze spojrzenia z Operatorem. – To całkiem zmienia postać rzeczy. Więc chodźmy, chodźmy spytać.

Kiwnął ręką i cała ekipa jak jeden mąż potruczała posłusznie za panem Staśkiem.

– Pani Maryśka, to znaczy, przepraszam, Pani Maria, jest zapewne pańską szanowną małżonką? – Redaktor próbował uporządkować fakty.

– Jako małżonko, czort ta! Wincy! Una je dla mnie wszystkim, bynajmniej! No nie Maryśka?!

Pan Stasiak objął pysk jednej z krów, a dokładnie tej z dzwonkiem na szyi i czule go pocałował.

– Muuu! – potwierdziła krasula.

– I Stacha też widziała! I Zośka i Jadźka też... – Rolnik wskazywał głową pozostałe zwierzęta. – Wszystkie widziały! No niech pan sam spyta!

Redaktor spurpurowiał na twarzy. Stał przez chwilę, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego dał tylko ekipie sygnał do błyskawicznego odwrotu.

– I co ja teraz dam do Wiadomości? – pieklił się w drodze powrotnej. – Niech to... Cały dzień do kosza!

Pozostali członkowie telewizyjnej ekipy także mieli wyjątkowo podły nastrój. Może z wyjątkiem kierowcy, bo on otrzymywał wynagrodzenie za czas pracy. Dlatego na dwudziestym kilometrze zatrąbił kilka razy i parsknął wesoło:

– Ale cyrk!

– Cyrk! – Zdesperowany Redaktor uchwycił się tego jak tonący brzytwy. – To jest pomysł! Nakręcimy cyrk. Podobno właśnie przyjechał... A z tym panem Staśkiem trzeba coś będzie zrobić. On może być naprawdę niebezpieczny. Jeszcze jeden taki numer i zadzwonię, gdzie trzeba! Przyjadą, wsadzą go w kaftan i będzie spokój! – zakończył z wyraźną pogroźką w głosie.

Rozdział Trzeci

Pierwsze Starcie.

1.

Ptakoj, Żuj, Gliździoch i Bazylich schował się za jednym z budynków i stąd, skulone, obserwowały główną ulicę ziemskiego miasta. Były zdumione. Nigdzie nie było inteligentnych czworonożnych i owłosionych ludzi, jakie widziały na monitorze w centrum dowodzenia Rotona. Wszędzie za to pętały się chude dwunogie zwierzęta. Zajęte bieganiami w te i wewte nie zauważały Scalorów. Wszystko się zmieniło, gdy pojawiło się stadko ziemskich szczeniąt. Przechodziły w pobliżu parami pod opieką dorosłej samicy.

– Co za miłe szczeniaczki... – westchnął na ich widok Gliździoch. – Przed odlotem złapię sobie jednego takiego do zabawy. A jak mi się znudzi, to go zjem.

– Ciiii! – Żuj położył Gliździochowi łapę na pysku, ale już było za późno.

Jego ciche westchnięcie zabrzmiało tu jak głośny ryk. Idący w ostatniej parze szczeniak w kaszkietówce odwrócił się, wymierzył w Scalory palcem i wrzasnął na całą ulicę:

– Psze pani cyrk! Cyrk przyjechał!

Natychmiast pozostałe maluchy rzuciły się biegiem w kierunku Scalorów, otoczyły ich i zaczęły się wydzierać:

– Hurra, cyrk! My chcemy do cyrku!

– Ja się chcę przejechać na tym z dwoma głowami! – wydarł się brzdąc w czerwonej koszulce i, zanim Bazylich zdążył się zorientować, wgramolił mu się na jeden z łbów.

Deptał mu przy tym nogami po delikatnej konstrukcji światłowodów. Kiedy Scalor zaczął trzepać łbem, chcąc strącić szczeniaka, ten złapał się kabli, wrywając Bazylichowi wtyczkę wzroku. Oślepiony potwór zaczął kręcić się bezradnie w kółko.

– Ratuj Gliździochu! – jęczał. – Żuju ratunku!

Gliździoch natychmiast ruszył Bazylichowi na pomoc. Jednak wtedy szczeniak w kaszkietówce, ten sam, którego chciał sobie zabrać jako maskotkę, wycelował do niego z pistoletu na wodę i krzyknął:

– Łapy do góry!

Gliździoch się schylił, bo stwierdził, że to świetna okazja, by spełnić swoje marzenie o posiadaniu maskotki. Wtedy jednak bachor z okrzykiem: „giń potworze” nacisnął spust. Mokry strumień wytrysnął z jego lufy i wleciał Gliździochowi prosto do nosa, zalewając umiejscowione wewnątrz jego organu powonienia styki układów scalonych. Potwór ryknął przeraźliwie, bo bolesny prąd przeszył jego wielkie ciało.

– Brawo! – Tłum, który zdążył właśnie otoczyć Scalory i dzieciaki, zafalował z zachwytu. Ludzie zaczęli głośno klaskać w dłonie i gwizdać.

Scalory już dawno otworzyłyby ogień z miotaczy, gdyby nie groźny, powstrzymujący je wzrok Żuja. Dowódca pamiętał wyraźny rozkaz Rotona: „Żadnego zamieszania! Żadnych strzałów, palenia... Bo wszystko zepsujecie”! Jednak gdy kolejny brzdąc pchnął w jego kierunku wózek sklepowy i Żuj potknął się o niego, a potem jak długi runął na ulicę, aż zadrżały najbliższe budynki, miarka się przebrała. Zagrożone zostało ich zdrowie, a może i życie. A co za tym idzie ich misja!

– Gliździoch! Bazylich! Ptakoj! – ryknął Żuj, z trudem gramoląc się z powrotem na łapy. – Na postrach z miotaczy, ognia!

Scalory ze szczękiem zarepetowały miotacze. Wycelowały ich lufy w niebo, a ich grube palce zacisnęły się na spustach.

2.

Muszę mu zwiąć! – pomyślała Margotta i posłała wściekle spojrzenie Robbowi.

Postanowienie ucieczki towarzyszyło jej od momentu wylądowania, a ściślej od chwili rozbicia się o tę planetę Ziemię. Na szczęście statek okazał się dość wytrzymały, sam się pogiął i połamał, ale im nic się nie stało. Teraz czekała tylko

na dobrą okazję. Już dawno by mu się urwała, gdyby nie tamten mały Ziemianin o imieniu Radek. Była na niego zła, bo jego pojawienie się pokrzyżowało jej ucieczkowe plany. Od tego momentu Robb zaczął ją bardziej pilnować.

Skąd on w ogóle znał moje prawdziwe imię? I skąd wiedział, że jesteśmy z innej planety? – zastanawiała się, chociaż jeśli chodziło o to drugie, to w sumie nietrudno było zgadnąć.

Wyglądali całkiem inaczej niż tubylcy i wszyscy Ziemianie przypatrywali im się z natarczywą ciekawością. Niektórzy nawet się śmiali i wytykali ich palcami.

A przecież to oni wyglądają komicznie!

Wszystko tu było dla niej nowe i zupełnie obce. Najgorsze, że Margotcie powoli zaczynało brakować tchu, bo Robb ciągnął ją za sobą jak bagaż. Od spotkania z Radkiem nie spuszczał z niej oka i nie wiedziała, czego mogła się teraz po nim spodziewać.

Porwał mnie, lecz... w sumie to tylko dzięki temu żyję. Bo gdyby nie to, byłabym zamrożona jak inni. No i dotąd nie zrobił mi żadnej krzywdy, ale też nie pozwolił mi ratować taty...

Na to wspomnienie oczy zaszyły Margotcie mgłą. Pociągnęła nosem i ukradkiem otarła rękawem łzy. Nie chciała przy porywaczu okazywać słabości. Nagle gdzieś całkiem niedaleko rozległ się potężny huk. Powietrze zadrżało, a na niebie rozbłysły różnokolorowe pióropusze ognia. Zaskoczony Robb spojrział z niepokojem w górę i na krótką chwilę puścił ramię dziewczyny. To był właściwy moment.

Teraz! – krzyknęła w myślach.

Zanurkowała w tłum i gdy Robb wyciągnął rękę po dziewczynę, jego dłoń natrafiła na powietrze. Spojrział szybko w bok. Kalilli nie było. Przez chwilę miał nadzieję, że wystraszona wybuchem gdzieś się blisko schowała. Postanowił poczekać, aż wróci. Dopiero po chwili dotarło do niego, że nie wróci, bo uciekła.

– Bezrozumna! – wycedził pod nosem i ruszył za nią w pościg.

Poruszało mu się już dużo wolniej, gdyż na ulicę wyległo zewsząd sporo Ziemian zwabionych rozbłyskami ognia na niebie. Przeciskał się pomiędzy nimi,

cały czas analizując sytuację. Zastanawiał się, jaką on wybrałby drogę ucieczki. Jego wybór padł na pobliską bramę. Skręcił i zapuścił się w mroczny, zaśmiecony korytarz. Już po trzech krokach był pewny, że wybrał dobrze i podąża jej śladem. Pośród woni stęchlizny wyłowił wyraźny zapach Kalilli. Chwilę potem zauważył wirującą puszkę, którą ktoś przechodzący w pośpiechu potrącił nogą.

Na pewno ona!

Przyśpieszył. Jednym susem przesadził kolejne drzwi, przeciął mały dziedziniec i przez następną bramę wydostał się na całkiem już zatłoczoną ulicę. Kątem oka zarejestrował tabliczkę z nazwą: „Ulica Szeroka”. Choć rzeczywiście ta nazwa dobrze charakteryzowała jej wielkość, tłum gęstniał tu z każdą chwilą i robiło się coraz ciasniej.

– Cyrk! Pampini! Fajerwerki! – Zewsząd padały okrzyki.

Nagle Robb stanął raptownie na samym środku ulicy, uderzony pytaniem, które przyszło mu właśnie do głowy:

Dlaczego ja jej w ogóle szukam?

– Ojciec słup, a matka latarnia? – Posypały się pretensje w jego kierunku od strony grupki osób, która w rozpędzie wpadła mu na plecy.

Jednak on nawet nie zwrócił na nich uwagi, skupiony na myślach, które błyskawicznie przepływały mu przez głowę:

Przecież to nie ta osoba! To nie jest Klucz! Jej nie było w Planie! Ona jest bezużyteczna! Wręcz szkodliwa. Tylko odwraca moją uwagę od... celu! A poza tym jest nieznośna, nieposłuszna i niewdzięczna! Dlatego przerywam poszukiwania! – postanowił, po czym... od razu zaczął się znowu rozglądać za Kalillą. Niedobrze, tracę nad sobą kontrolę. Co się ze mną dzieje? – zaniepokoił się. Dlaczego tak przejmuję się tą dziewczyną? Przecież sama uciekła. A skoro tak, to droga wolna! Nie będę nawet o niej myślał.

Jego spokój ducha nie trwał jednak długo, bo myśli o Kalilli wróciły mu do głowy jak bumerang. Ona była niczym magnes, który przyciągał jego uwagę.

A jeśli spotka ją tutaj krzywda? Przecież w tym obcym, nieznanym świecie na każdym kroku grozi jej niebezpieczeństwo! Nie zdołałem uratować świata, ale

uratowałem tę dziewczynę i teraz jestem przecież za nią odpowiedzialny! Muszę ją odnaleźć! – postanowił nagle i wtedy w głowie zapaliła mu się czerwona lampka, oznaczająca niebezpieczeństwo.

Powiódł szybko dookoła wzrokiem. Gdy spojrzał w stronę dużego budynku z napisem „Centrum Handlowe”, alarm zapulsował energicznie.

To ona! – ucieszył się.

W tym momencie powietrzem targnął drugi wybuch i na niebie rozbłysły kolejne kaskady ogni. Robb zanurkował w tłum, po czym złapał błyskawicznie za czyjeś ubranie. Przyciągnął je do siebie i ujrzał... twarz Radka.

– Gdzie ona jest! – krzyknęli do siebie równocześnie. – Co z nią zrobiłeś?

– Ja? – Radek otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Co? – zdziwił się także Robb.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Pierwszy odezwał się Robb, a w jego głosie pobrzmiwała złość.

– Nie mówiłem ci, żebyś nas ostawił w pokoju?

– A ja nie mówiłem, że chcę jej po-pomóc? – odparował Radek, jękając się ze zdenerwowania. – O-obronić? Nie da-dam ci jej skrzywdzić! Gdzie o-ona jest? Co z nią zrobiłeś?

– Nie twoja sprawa! – uciął Robb.

Czuł, że traci cenny czas. Musiał się pozbyć tego Ziemianina i to na dobre. W tym celu postanowił zastosować bardziej drastyczne środki. Uchwycił go za ramiona i jak piórko podniósł do góry. Już zamierzał potrząsnąć nim, żeby go porządnie nastraszyć, lecz wtedy zauważył w pobliżu dwóch innych Ziemian w czarno-niebieskich mundurach. Wyglądali na stróżów porządku. Złapali znacząco za pałki i ruszyli w ich stronę. Robb wiedział, że bez problemu dałby sobie z nimi radę, ale wołał nie wywoływać zamieszania. Pociągnął za sobą Radka i obaj rozplłynęli się w tłumie.

– Znikła i nie wiem, gdzie jest – burknął Robb w nadziei, że Ziemianin się od niego teraz odczepi.

– Co? – Radek zrobił wielkie oczy. – Ja-jak to znikła?

Robb nie odpowiedział. Jego uwagę zwróciła właśnie szopa bujnych jaskrawo-catangowych włosów, prześwitująca w tłumie. Był pewny, że na tej całej planecie była tylko jedna osoba z czymś takim na głowie.

– Kalilla! – krzyknął na cały regulator i zaczął się przepychać w jej kierunku.

Nie zwracając na krzyki oburzenia, roztrącał łokciami Ziemian, torując sobie do niej drogę.

– Kalilla! Kalilla!

Był coraz bardziej zdezorientowany. Dziewczyna musiała usłyszeć jego wołanie, a mimo to nie zareagowała. Ani nie spojrzała w jego stronę, ani nawet nie rzuciła się do ucieczki.

– Może to jednak nie ona? – zmieszał się i zatrzymał.

Wtedy usłyszał czyjeś wołanie:

– Mar-go-tta!

Obok stał Radek. Był zziębnięty i ledwo łapał powietrze.

– Margotta! – zawołał ponownie, teraz już bez zająknięcia.

Ku największemu zdumieniu Robba dziewczyna zatrzymała się, odwróciła głowę i spojrzała w ich kierunku.

– Jak to? – wyszeptał całkiem osłupiały.

Patrzył nierozumiejącym wzrokiem, to na Radka, to na dziewczynę, a w jego głowie aż roilo się od pytań.

To naprawdę Margotta? Kim ona jest? Kim jest ten Radek? I skąd znał jej prawdziwe imię?

Tymczasem Margotta aż kipiała w środku z wściekłości.

Żeby tak łatwo dać się podejść!

Wystarczył krótki moment nieuwagi... Kiedy uwolniła się od porywacza i została sama pośród tłumy Ziemian, uświadomiła sobie z pełną mocą, że wszystko w jej życiu się zmieniło i nic już nigdy nie będzie takie samo jak przedtem.

Zostałam porwana i rzucona w ten obcy, nieznaną świat... Bez taty... bez przyjaciół... bez nadziei...

Ledwo to pomyślała, nad jej głową rozbłysły kolorowe ognie. Od razu się rozmarzyła, że jest na Margencie i widzi na niebie Warkocz Katylli. Wtedy właśnie, ledwo przebrzmiał huk wybuchów, do jej uszu dotarły wyraźne dźwięki jej imienia. Odwróciła się... i w jednej chwili wróciła na Ziemię. A był to powrót bolesny, bo przed nią stali ramię w ramię Radek i Robb.

Ach, więc to tak! – Aż poczerwieniała ze złości. Ziemianin sprzymierzył się z tym porywaczem.

Nawet nie próbowała uciekać. Wiedziała, że sama przeciw dwóm nie ma żadnych szans. Stali mierząc się w milczeniu wzrokiem. Pierwszy odezwał się Radek.

– Mamy sobie chyba trochę do powiedzenia. – Przeczesał nerwowo dłonią włosy. – I to wszyscy.

– Tak – potwierdził Robb i potarł nos, choć nic go nie swędziało. – Musimy sobie coś wyjaśnić.

– My? Sobie? – zachnęła się Margotta i groźnie zmarszczyła brwi. – To wy musicie wszystko wyjaśnić mnie!

Poddali się nurtowi płynącego tłumy i wraz z nim zaczęli wolno posuwać się do przodu, w kierunku skąd wystrzeliwane były fajerwerki. Robb wyraźnie górował wzrostem nad otaczającymi ich ludźmi.

– Dlaczego ty... – Margotta zwróciła się do Robba. – Dlaczego mnie porwałś!

Robb wybałuszył oczy ze zdumienia.

– Co zrobiłem?!

– Chyba słyszałeś – wtrącił się Radek. – Dlaczego ją porwałś?

– Natomiast ty... – Margotta posłała groźne spojrzenie Radkowi. – Przyznaj się, dlaczego mnie śledzisz!

– Nie śledzę... tylko... – Radek zaczerwienił się i wziął głęboki oddech, bo z nerwów zabrakło mu tchu.

– Nie porwałem... tylko... – odezwał się równocześnie Robb, lecz nagle wycelował palcem w Margottę i spytał oskarżycielskim tonem: – A ty, dlaczego skłamałaś, że masz na imię Kalilla, a nie Mar...

– Tylko... – zdołał w końcu wydusić z siebie Radek, lecz Margotta przerwała mu zdecydowanie.

– Po kolei! Najpierw ty!

Skinęła na Robba, a ten odezwał się po chwili niepewnie:

– To długa historia...

Margotta wzruszyła ramionami.

– Teraz mam dużo czasu...

– Ja też... – poparł ją Radek.

W końcu był na wagarach i nie mógł za wcześnie wrócić do domu, bo od razu by się to wydało. A do końca szkoły zostały mu jeszcze cztery pełne lekcje.

– Ta historia dotyczy pewnej legendy... – rozpoczął Robb tajemniczo. – Legendy o zaklęciu...

Nie zdołał dokończyć, gdyż jego słowa zagłuszył potężny ryk i z nad dachów kamienic wyłoniło się pięć potwornych pysków.

– Scalory! – krzyknął Robb.

– Uciekinierzy! – ryknął dwiema paszczami naraz Bazylich i wymierzył w nich uzbrojoną w miotacz łapą.

Dalej wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Scalory nie zważając na ludzi, ruszyły w ich stronę. Tłum rozstał się i zawył z zachwytem. Wszyscy byli pewni, że te wielkie kukły, wystrzeliwujące salwy fajerwerków, promują „Cyrk Pampini”, którego afiszami oklejone było całe miasto. Radka i dziwnie wyglądającą dwójkę jego przyjaciół wzięli za cyrkowych aktorów. Dzieci ze śmiechem wskazywały ich palcami i krzyczały:

– Tu są! Łapcie ich!

Radek, Robb i Margotta próbowali ostrzec ludzi przed Scalorami. Krzyczeli, że to groźne potwory i muszą natychmiast zabrać stąd dzieci i ukryć się w domach. Ci, którzy byli najbliżej i słyszeli ich krzyki, śmiali się na to i jeszcze mocniej

klaskali. W końcu Robb pociągnął Margottę i Radka i we troje rzucili się do ucieczki. Radek biegł co sił w nogach, ale nie mógł dotrzymać kroku Robbowi. Co gorsza, nie nadążał też za Margottą. Szybko złapał zadyszkę i złapała go kolka. Zaczął się bać, że zaraz wymięknie, kiedy nagle to Robb zatrzymał się, zawrócił i zaczął iść w stronę potworów.

– Nie wiem, co zrobić, żeby uratować świat... – rzucił, mijając Margottę. – Ale mogę przynajmniej ocalić. Ty bieżaj! Bieżajcie oboje!

Margotta zbladła.

– Robb! Stój! – krzyknęła za nim, ale ten nawet się nie obejrzał.

Wtedy do niego podbiegła i złapała go za rękę. Chciała go zatrzymać, lecz on parł do przodu jak taran.

– Przytargałeś mnie na tę planetę wbrew mej woli, a teraz chcesz mnie tu zostawić? Samą?!

Była purpurowa z wściekłości.

– Chcę umożliwić wam ucieczkę! Wracaj do Ziemiańnika i umykajcie. Schrońcie się gdzieś!

Mówiąc to, Robb pchnął Margottę w kierunku Radka.

– To nic nie da! – ledwo zdołał wysapać Radek. – Nie zatrzymasz ich. Tylko sam zginiesz.

Robb zawahał się.

– To, co zrobić? Znasz jakąś... instrukcję?

– Instrukcję? Noooo... – zająknął się, starając się gorączkowo coś wymyślić. – Każda instrukcja kazałaby w takiej sytuacji... Kiedy się nie wie, co robić... Zyskać na czasie. Chyba mam pomysł! – wykrzyknął niespodziewanie. – Szybko! Znam jeden skrót.

Pociągnął za sobą Robba i Margottę w ciemny otwór wąskiej bramy. Biegiem pokonali korytarz, schody na górę i w dół. Wypadli na dziedziniec i dopiero przez następną bramę wydostali się na inną ulicę, dokładnie na wysokości Centrum Handlowego. W środku było sporo ludzi. Z głośników rozlegała się agresywna muzyka, która, w połączeniu z jarzeniowym światłem, miała za zadanie rozbudzać

w klientach żądę posiadania. Można ją było zaspokoić tylko w jeden sposób: kupując! Kupując!

– Jak mówiłem, musimy zyskać na czasie. – Zdyszany Radek objaśniał swój pomysł, gdy zatrzymali się obok ruchomych schodów, którymi płynęły dwie rzeki ludzi. Jedna w dół, a druga do góry. – Tyle że tak... – Tu wskazał wymownie na wygląd Margotty i Robba. – Nie mamy żadnych szans. Od razu widać, że z wami coś jest nie tak. To znaczy, że jesteście inni. To znaczy...

Radek zaplątał się i spurpurowiał na twarzy, choć i tak po biegu był już cały czerwony.

– Chodzi mi o to, że potwory od razu was wypatrzą nawet w największym tłumie! Musicie wtopić się w otoczenie...

– Stopić? – przerwał mu zaniepokojony Robb. – Mnie się nie wolno stopić!

– Wtopić. W otoczenie! – powtórzył Radek z naciskiem. – To znaczy, że musicie się przebrać!

– Przebrać się? Świetnie! – ucieszyła się Margotta i jakby od razu zapomniała o zagrożeniu.

Za to Robb gwałtownie zaprotestował.

– Wykluczone! Nie zzuję kombinezonu! Nie ma mowy!

– Przecież w tym... – Margotta przyszła Radkowi z odsieczą, wskazując na ubranie Robba. – W tym każdy rozpozna cię tu na margekilometr!

– Nie zzuję kombinezonu! – powtórzył Robb tak głośno, że bliżej stojący klienci obejrzeli się z natarczywą ciekawością. – Ale mogę na niego coś nałożyć! – Dodał pojednawczo i przygładził kombinezon, wzbudzając przy tym porządny tuman kurzu.

– To w porządku – zgodził się Radek. – A więc jak mówiłem, musicie się przebrać i...

– Odkurzyć! – weszła mu w słowo Margotta i wymownie spojrzała na Robba.

Ten potrząsnął głową i odparł chłodno, wpatrując się w jej włosy:

– Domniemywam, że on raczej chciał rzec: „i pójść do fryzjera”, nieprawdaż?

Radek przytaknął zdecydowanie.

– Nigdy! – wykrzyknęła Margotta, aż ekspedientka ze stoiska z kosmetykami psyknęła:

– To nie szkoła! Tu obowiązuje kultura!

Radek wskazał na szopę zmierzwionych, jaskrawoczerwonych włosów na głowie Margotty i zacytował jej własne słowa, których ona sama przed chwilą użyła w stosunku do Robba:

– W tym... „każdy rozpozna cię... nas na kilome...”

Urwał, bo przez natarczywą muzykę i gwar ludzi przebiły się ryki Scalorów. Potwory musiały być blisko, raptem kilka przecnic dalej i szybko się zbliżały. Margotta przełknęła głośno ślinę, wzruszyła ramionami i z rezygnacją kiwnęła głową.

– Właściwie to trochę mi już te włosy przeszkadzają. A ty... – zwróciła się do Radka. – Ty też się musisz przebrać. Przecież ciebie potwory także widziały.

Radek odetchnął z ulgą. Nie przypadkiem przyprowadził Robba i Margottę do tego Centrum. Po pierwsze, tu mogli w jednym miejscu znaleźć wszystko, czego potrzebowali. A po drugie, pracowała tutaj jego kuzynka Monika, pulchna, piegowata blondynka z zadartym noskiem i nigdy niezamykającymi się ustami. Już z daleka usłyszał jej szczebiot na damskiej bieliźnie.

– To ty? – zaśmiała się na jego widok – Chyba nie przyszedłeś kupić staniczka?

Radek poprosił kuzynkę, żeby zajęła się Robbem i Margottą kompleksowo. Wyjaśnił jej, że ta dwójka przyjechała właśnie z bardzo małego miasteczka i trzeba ich ucywilizować.

– Zobaczycie, będzie superowsko! – Podniósł kciuk do góry i oddał ich w ręce Moniki.

Kiedy został sam, wybrał dla siebie pierwszą lepszą marynarkę, zarzucił ją sobie na ramiona i podszedł do ściany wielkich okien. Przytknął dłoń do szyby i wyjrzał na zewnątrz. Potworów nie było widać, ale coraz głośniejsze ryki i napływający szybko tłum gapiów zapowiadał ich rychłe nadejście. Dopiero teraz

zaczął odczuwać prawdziwy strach, na który wcześniej nie było czasu. Wszystkie te przebiegające szybko jedno za drugim zdarzenia wydawały mu się jakimś koszmarnym snem, jednak to się działo naprawdę.

W pewnej chwili poczuł na plecach czyjś wzrok, a w szybie zauważył niewyraźne odbicie kogoś, kto mu się bezceremonialnie przyglądał. I nagle ten ktoś ruszył zdecydowanym krokiem w jego stronę.

Koper! – pomyślał, na wszelki wypadek się nie odwracając. Pewnie chce się odegrać za ostatnie spotkanie.

Jakby na potwierdzenie swoich obaw, usłyszał za plecami zaczepny głos:

– No i co?!

Odwrócił się, przygotowany na najgorsze i... zamarł całkowicie zaskoczony. Przed nim stał jakiś nieznajomy, wysoki chłopak w długim płaszczu i ciemnych okularach. Wyglądał bardzo elegancko, choć trochę dziwnie. Jak przebieraniec, któremu pomyliły się pory roku i w lecie ubrał się jakby była już jesień.

– Jest superowsko?

Radek wybałuszył gały.

– Robb?!

Musiał mieć naprawdę głupią minę, bo Robb wyszczerzył zęby w czymś, co od biedy można by uznać za uśmiech.

– Ciekawe jak idzie Margocie?

Wizyta u fryzjera poszła jej nadspodziewanie dobrze. Może dlatego, że Monika zadbała o to, żeby Margotta nie była się w stanie za wcześnie zobaczyć.

– Na podziwianie się przyjdzie czas po wszystkim! – trajkotała nieprzerwanie. – To znaczy po fryzjerze i po przebraniu. Możesz mi całkowicie zaufać. Zobaczysz, kiedyś będę sławną projektantką, tylko muszę zarobić na studia.

Sytuacja przestała być taka przyjemna podczas przebierania. Z górą poszło jeszcze dobrze. Jednak kiedy Monika podała jej spodnie, Margotta zdecydowanie zaprotestowała.

– Tego nie włożę! Te spodnie są używane i zniszczone!

Monika zamilkła na moment ze zdziwienia. Spojrzała na Margottę podejrzliwie.

– Gdzie ty się dotąd chowałaś? Przecież to są džinsy i mają być wytarte. A jeśli w dodatku są podarte, to dopiero są superowskie... i droższe od takich niepodartych.

– Dziwne... – Margotta pokręciła niedowierzająco głową i nie bez oporów wciągnęła dziurawe džinsy.

– No, gotowe!

Monika omiotła ją wzrokiem i cmoknęła z zachwytem.

– Tylko nie patrz w lustro. Lecę po chłopaków.

– A co to jest lustro? – spytała Margotta, lecz kuzynki Radka już nie było.

Została sama i od razu poczuła się nieswojo. Jedynym przedmiotem, który został jej po dawnej Margotcie, był medalik na łańcuszku, pamiątka po mamie. Nigdy go nie zdejmowała, teraz też. Był bardzo stary, a wyryty na nim wzór przedstawiał symbol Pramatki Katylli. Był to spiralny rysunek „Warkocza Katylli”, galaktyki, która widoczna była nawet na rozświetlonym trzema słońcami margentiańskim niebie. Schowała medalik pod koszulkę, bo już zaczęły jej napływać wspomnienia, a wraz z nimi łzy, a nie chciała się teraz rozkleić.

Czekanie na Monikę ciągnęło się jak gumma do żucia i Margotta po dłuższej chwili zaczęła się niecierpliwić i wiercić. W pewnej chwili wstała, odwróciła głowę i... krzyknęła zdumiona i trochę wystraszona. W jej kabinie znajdowała się jakaś druga dziewczyna, która nie wiedzieć kiedy wśliznęła się bezszelestnie za kotarkę. Obie wpatrywały się teraz w siebie całkowicie zaskoczone.

Ta Ziemianka to dopiero wygląda super! – pomyślała Margotta z podziwem.

Z zazdrością przyglądała się szczupłej, wysokiej i superowsko ubranej dziewczynie. Miała na sobie obcisłe džinsy i przewieszoną przez ramię džinsową kurtkę, spod której wystawała catangowa bluzka z krótkim rękawem. Lekko pofalowane włosy w kolorze dojrzałych owoców catangi sięgały jej do ramion. Margotcie przeleciało naraz przez głowę, że chciałaby wyglądać dokładnie tak jak ona.

– Ale to niemożliwe – westchnęła z żalem i nieśmiało się odezwała: – Witaj!

– Witaj! – przywitała ją równocześnie dziewczyna.

– Kim jesteś? – zapytała Margotta, ale tamta dokładnie w tej samej chwili zadała jej takie samo pytanie.

– Jestem Margotta! – odpowiedziała Margotta.

Wyciągnęła rękę na przywitanie, lecz jej palce, zamiast na dłoń dziewczyny, natrafiły na jakąś zimną, gładką powierzchnię.

– Jakieś czary...

Była tak zaskoczona, że nawet nie zauważyła Radka, który zajrzał do przebieralni, ale natychmiast wybełkotał „przepraszam” i w popłochu się wycofał.

– No i? – Spojrzał zdziwiony na swoją kuzynkę. – Gdzie to twoje „dzieło”?

Monika najwyraźniej zgłupiała. Podskoczyła do kabiny i energicznym ruchem odsunęła kurtynkę.

– Przecież prosiłam, żebyś się nie odwracała do lustra! – wytrajkotała z wyrzutem, lecz Margotta stała jak zahipnotyzowana i nic nie powiedziała.

A więc to jest to lustro! – domyśliła się. A ta dziewczyna to jestem... ja!

Była tak wstrząśnięta tym odkryciem, że nie zwróciła uwagi na obecność Radka i Robba. Choć „obecność”, to było za dużo powiedziane, bo tamci stali jak rzeźby woskowe i z otwartymi ustami wgapiali się w Margottę.

– Nie, to niemo... możliwe! – zdołał w końcu wyjąkać Radek. – Wy... wyglądasz superowsko. To nie mo... możesz być ty!

– Dzięki!

Margotta wydeła wargi jak obrażona, choć w gruncie rzeczy zaskoczenie Radka bardzo jej pochlebiało.

– Nie, nie! – Radek znów poczerwieniał. – Nie to chcia... chciałem. Po... po prostu przed chwilą jeszcze wyglądałaś tak ko... koszmarnie...

– Wielkie dzięki! – jeszcze mocniej wydeła usta i dodatkowo groźnie zmarszczyła brwi.

W duchu jednak zaśmiewała się z Radka do rozpuku. No i z Robba oczywiście też. Tak go zamurowało, że nie odezwał się ani słowem. Za to ona z

radości wybiegła z przymierzalni, wywinęła piruet i kołysząc biodrami, przespacerowała się przed całą trójką. Na koniec przyjęła pozę modelki, zatrzepotała rzęsami i spytała słodkim głosem:

– Może być?

Radek z Robbem wytrzeszczyli szeroko oczy i razem wykrzyknęli:

– Niiieee!

Rozdział Czwarty

Przymierze.

1.

Do środka Centrum Handlowego zaglądało pięć potwornych pysków, pokrytych brodawkami i kępkami sierści. Zakrzywione jak szable zęby pobłyskiwały złowrogo, a wyłupiaste ślepia penetrowały wnętrza galerii w poszukiwaniu uciekinierów. Na widok potworów na piętrze, gdzie przebywał Radek z dwójką Kosmitów, momentalnie się zakotłowało. Ci, którzy słyszeli już o cyrku, bili brawo i machali rękami na powitanie imponujących cyrkowych kukieł. Reszta klientów była zdezorientowana i wystraszona. Przeraziły się zwłaszcza małe dzieci, które w zamieszaniu od razu pogubiły rodziców i zaczęły się drzeć wniebogłosy. W pewnej chwili jeden z potworów skierował wzrok dokładnie w miejsce, gdzie stał Radek z Robbem i Margottą.

– Umykajmy!

Robb pociągnął za sobą Margottę i zaczął przepychać się przez tłum. W pierwszym odruchu Radek ruszył za nimi. Szybko jednak zreflektował się i opanował strach.

– Stójcie! Chcecie zwrócić na siebie uwagę? Przecież jesteśmy przebrani!

Robb i Margotta zatrzymali się, ale było już za późno. Ich poruszenie nie umknęło uwadze jednego z potworów. Momentalnie wyłowił w tłumie Ziemiaków dwójkę, która wzrostem i wiekiem odpowiadała poszukiwanym. W dodatku zachowywała się jak uciekinierzy. Wielkie, dyszące żądzą mordy ślepia Scalora zogniskowały się na nich jak punktowce, a jego pysk rozwarł się do tryumfalnego ryku.

Pod Radkiem ugięły się kolana. Przez głowę przeleciała mu myśl, że to już koniec. Jak przez mgłę dostrzegł przed sobą dzieci, które wiwatowały na cześć potworów. Instynktownie zaczął je naśladować. Margotta w pierwszej chwili pomyślała, że Radek zwariował ze strachu. Zaraz jednak domyśliła się, w czym rzecz i sama zaczęła wymachiwać radośnie rękami przed samymi ślepiami Scalora.

– Jesteśmy przebrani! – rzuciła do zdziwionego Robba, przekrzykując hałas.

– Jeśli się nie zdradzimy, potwory nas nie rozpoznają.

Robb skrzywił się nieufnie, ale i on podniósł ręce i nimi z uśmiechem zamachał. Scalorowi tryumfalny ryk zastygł w gardzieli. Coś mu się nie zgadzało. Przecież gdyby to byli uciekinierzy, uciekaliby, a nie radośnie witali swoich oprawców. Poza tym, przy bliższym przyjrzeniu się, wyglądali zupełnie inaczej, niż poszukiwani.

– To nie oni! – Scalor kłapnął z zawodem paszczą i przeniósł świdrujący wzrok w inne miejsce, by kontynuować poszukiwania Margentianki z szopą jaskrawych włosów na głowie i Margentianina w szarym kombinezonie.

– Czy ktoś może mi wytłumaczyć... – Zadźwięczał w pobliżu cienki głosik Moniki. – Co tu się właściwie dzieje? Bo ja nic nie wiem, a ja tu przecież pracuję i...

– To jakiś cyrk – przerwał jej stojący obok starszy pan. – A teraz ciszej, bo zagłusza mi pani widok.

Monikę zatkało, ale tylko na ułamek sekundy. A i tak Radek odniósł wrażenie, iż mimo głośnego rejwachu wokół, na piętrze zapanowała cisza. Jednak już po chwili jego kuzynka trzepotała rzęsami i ćwierkała w najlepsze:

– Zagłuszam widok? Ale jak to? Przecież widok można tylko zasłonić, a nie zagłuszyć...

– No i proszę! Przepłoszyła je pani! – uciał starszy pan z wyrzutem i pokazał ręką opustoszałe okna.

Radek odetchnął z ulgą. Scalory przenieśli swoje poszukiwania na sąsiednie budynki i przynajmniej na jakiś czas byli bezpieczni. Poczul, że przez ostatnie chwile cały się spocił, a ubranie wręcz kleiło mu się do ciała.

– Brawo!

Margotta cmoknęła go głośno w policzek, a Robb poklepał go mocno po plecach.

– Miałeś... superowski pomysł! – powiedział z uznaniem i jakby z odrobiną zazdrości w głosie.

Radek nie był pewny, czy Robb był zazdrosny o jego pomysł, czy o ten pocałunek. Nie zamierzał jednak o tym rozmyślać, bo był z siebie naprawdę dumny. Podstęp się udał. Scalory ich nie złapały. Nikomu też nie stała się krzywda. Życie wokół wróciło do normy i klienci zajęli się zakupami. Monika znowu się roztrajkotała i pociągnęła ich dokądś ze sobą. Po kilku krokach Radkowi serce zabiło jak werbel, gdy wyłowił z tłumu dwa podskakujące blond kucyki, przewiązane niebieskimi wstążeczkami.

– Magda!

Obiekt jego nieustających klasowych westchnień szedł, a raczej płynął wśród tłumu z dwiema przyjaciółkami nierozłączkami: zezowatą Izką i tyczkowatą Gochą, której ledwo sięgał do brody. Wszystkie niosły wypchane zakupami reklamówki z kolorowym nadrukiem Galeria Centrum. W sekundzie zapomniał o całym świecie i zaczął się wpatrywać w Magdę z takim natężeniem, że omal oczy nie wyskoczyły mu z orbit.

Odwróć się, odwróć się! – powtarzał w myślach, ale jego zaklęcia nie zrobiły na Magdzie najmniejszego wrażenia.

Za to jemu pobielalo nagle przed oczami. Przed nim stała Margotta i wymachiwała mu przed twarzą jakimś świstkiem papieru.

– Trzeci raz pytam, co to jest „rachunek”?!

W jednej chwili oprzytomniał i ugięły się pod nim nogi. Dopiero teraz zorientował się, że stali w kolejce do kasy i byli już całkiem blisko. Z tyłu napierali na nich ludzie, a po bokach były barierki i nie mogli się już wycofać.

– W tym całym zamieszaniu, za-zapomniałem... że trzy-trzeba zazapłacić! – wyjąkał biały na twarzy niczym rachunek od Moniki. – A ja nie mam piepienędzy.

– Co?!

Monika wyrwała Margotcie rachunek, na którym podliczyła całe ich zakupy i wcisnęła go do ręki Radkowi.

– Ja wracam na stoisko! A ty lepiej znajdź te pieniądze, bo tu z ochroną nie ma żartów – wydukała wzburzona i tyle ją było widać.

Był to chyba pierwszy przypadek, kiedy to nie klienci uciekli od Moniki, lecz odwrotnie, ona czmychnęła od klientów.

– Rzeczywiście miałeś superowski plan! Ha, ha! – prychnęła Margotta do Radka i pod naporem kolejki zbliżyła się o kolejny krok do kasy. – Przebrałeś nas, tylko zapomniałaś, że trzeba zazapłacić!

– Gdyby nie on byłabyś już w łapach Scalorów. – Robb stanął w obronie Radka.

– Za to teraz jestem w łapach ochroniarzy... i porywacza! – odcięła się Margotta i posłała mu piorunujące spojrzenie.

– Masz rację, to... mo-moja wina... – odezwał się z rezygnacją Radek, wgapiając się wytluszczoną na rachunku kwotę sto pięćdziesiąt osiem złotych i pięćdziesiąt groszy.

– Zaraz, zaraz. Mówiłeś coś o piepieniądzach – zaczął głośno myśleć Robb. – Że nie masz tych... piepieniędzy...

Radek zmarszczył gniewnie brwi. Robb z Margottą najwyraźniej go przedrzeźniali. Jednak to nie był najlepszy moment na kłótnie. Zacisnął więc tylko zęby i nic nie powiedział. Wyciągnął pięćdziesięciogroszówkę i podał Robbowi.

– To wszystko, co mam.

– Ten krążek ze stopu metali to jest „piepieniądz”? I o to ta cała afera? – zdziwił się Robb.

Wziął od Radka monetę i obejrzał ją dokładnie ze wszystkich stron.

– Czy to znaczy, że możemy jednak „zazapłacić” i wyjść? – ucieszyła się Margotta.

– Nie Mo-możemy – odpowiedział Radek z miną przestępcy prowadzonego na szafot. – Bo to za ma-mało!

W tym samym momencie, popychani przez kolejkę, znaleźli się przy kasie i stanęli oko w oko z potężną kasjerką z nie mniej imponującym kokiem na głowie. Kobieta, która ledwo mieściła się na swoim stanowisku, musiała najwyraźniej usłyszeć słowa Radka, bo spojrzała na niego podejrzliwie, po czym wyrwała mu z ręki rachunek i wystukała coś szybko na klawiaturze kasy.

– Sto pięćdziesiąt osiem – rzuciła sucho, a jej tłusty palec wylądował w gotowości na czerwonym guziku z napisem „OCHRONA”.

Nogi w jednej chwili zrobiły mu się jak z waty. Był pewny, że nie uda im się uniknąć najgorszego, z wezwaniem policji włącznie. Wtedy wyjdzie na jaw, że ani Robb, ani Margotta nie mają żadnych dokumentów. Potem okaże się, że w ogóle... nie mieszkają na Ziemi i są Kosmitami, a on ich ukrywa. Wszyscy zostaną aresztowani i zanim ktoś im w cokolwiek uwierzy, niepowstrzymywane przez nikogo Scalory zniszczą świat.

– Ej, szybciej tam! Chcemy zdążyć na cyrk! – Posypały się z kolejki liczne okrzyki.

– Płacicie? – Kasjerka groźnie zaszeleściła imponującym kokiem i w powietrze wzbił się duszny zapach perfum. – Bo jak nie, to wzywam ochronę!

Już się szykowała, by wcisnąć guzik, gdy na ladę kasy posypał się z brzękiem grad monet.

– Dobrze się składa... – Robb całymi garściami wyjmował z kieszeni kombinezonu pięćdziesięciogroszówki i wysypywał je na ladę. – Nie mówiłem wcześniej, bo nie wiedziałem, że to istotne... Ale... akurat... właśnie... zupełnie przypadkiem znalazłem u siebie trochę tych metalowych krążków. I to akurat dokładnie... tyle ile trzeba, czyli trzysta siedemnaście.

Na widok sterty drobniaków cała kolejka zbaraniała, kasjerce odebrało mowę, a Radek wybałuszył ze zdumienia oczy. Jedyne Margotta szczerze się ucieszyła na widok „piepieniędzy”.

– Brawo! – Klasnęła w dłonie. – Jesteśmy uratowani!

Pierwsza doszła do siebie kasjerka. Zaczęła trzepać głowę tak energicznie, że kok nie wytrzymał i eksplodował na wszystkie strony strumieniami włosów jak wytrzęsiona puszka coli.

– Zaraz odechce się wam głupich kawałów, szczeniaki! – wydukała purpurowa na wielkiej twarzy i całym ciężarem ciała naparła na guzik alarmu.

Rozległ się przeraźliwy dźwięk dzwonka, a nad kasą zapulsowała groźnie jaskrawoczerwona lampka. Natychmiast zaroilo się od czarno umundurowanych ochroniarzy i wszyscy jak jeden mąż skierowali się biegiem w ich stronę.

– W nogi! – syknął Radek, lecz Robb złapał go mocno za ramię i siłą zatrzymał w miejscu.

– Tylko spokojnie.

– Jak nas złapią, wezwą policję i wtedy nas zaaresztu... – zaczął Radek, ale zaraz urwał, bo przy sąsiedniej kasie zauważył właśnie Magdę.

Od razu wyobraził sobie, jak superowsko będzie wyglądał wyprowadzany stąd w kajdankach. Jednak w tym momencie stało się coś dziwnego. Dzwonek alarmowy przy ich kasie ucichł, a za to przejmujący alarm odezwał się w ostatniej kasie, na drugim końcu „Centrum Handlowego”. Zdezorientowani ochroniarze zatrzymali się i po błyskawicznej naradzie jak jeden zrobili w tył zwrot, po czym pomknęli w tamtą stronę. Nie przebyli jednak nawet połowy drogi, gdy alarmy zaczęły odzywać się także w innych kasach. Ochroniarze całkiem zgłupieli i po krótkiej naradzie postanowili się rozdzielić. Ledwo jednak któryś z nich docierał do dzwoniącej kasy, ta gasła i cichła, zupełnie jakby alarmy bawiły się z nimi w ciuciubabkę. Jedyne ich kasa przez cały ten czas milczała jak zaklęta. Widząc, co się dzieje, Kasjerka, która dotąd bezskutecznie napierała całą sobą na czerwony guzik, postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

– To oni! Są tutaj! Brać ich! – wrzasnęła.

Wzrok ochroniarzy, klientów, Magdy i jej koleżanek skierował się w jej stronę. Kasjerka wychyliła się z kasy z rękami rozstawionymi jak sidła, by schwytać w nie złoczyńców, lecz wtedy zdębiała. Jej obłe palce schwytały jedynie powietrze.

2.

Radek, Robb i Margotta siedzieli na ławce w miejskim parku i z trudem łapali oddechy. Uciekając z Centrum Handlowego przemierzali chyba pędem pół miasta. Na szczęście nigdzie nie natknęli się na Scalory.

Wszyscy troje milczeli. Robb wydawał się zatopiony w swoich myślach. Margotta wsłuchiwała się w śpiew ptaków i podziwiała otaczającą ich roślinność. Rosły tu kasztanowce, klony i wiele innych krzewów i drzew, a rabatki z kwiatami przypominały rozłożone na trawie wzorzyste kobierce.

Jak opowiem tacie, że gdzieś są rośliny o liściach marantowych, a nie margentowych jak na Margencie, to mi na pewno nie uwierzy! – pomyślała i nagle posmutniała, bo zdała sobie sprawę, że może już nigdy nie wrócić na Margentę i nie zobaczyć, ani taty, ani przyjaciół...

Pierwszy przerwał milczenie Radek.

– Mieliliśmy niesamowite szczęście. Alarmy popsuły się jak na zawołanie. Gdyby nie to, byłoby z nami naprawdę krucho.

Wyczekująco łypnął oczami na Margottę, a zaraz potem na Robba, jednak żadne z nich nie zareagowało i znów zapadła przygnębiająca cisza. Zaczął grzebać butem w ziemi, ale kiedy wygrzebał już głęboką dziurę, nie wytrzymał.

– No i gdyby nie te pieniądze... – odezwał się. – Gdzie ty je znalazłeś? Mnie nawet dziesięciu groszy nie udało się nigdy znaleźć.

Robb wzruszył tylko ramionami i zatoczył głową szerokie koło, co zapewne miało oznaczać, że znalazł je gdzieś... na mieście. Naraz położył palec na ustach, nakazując im milczenie, a sam zaczął nasłuchiwać. W pobliżu rozległ się jakiś dźwięk, coś jak burczenie czy skrzypienie.

– Słyszeliście?

Radek skinął głową i szepnął:

– To coś całkiem blisko.

– Ja tam nic nie słyszę... – Margotta wzruszyła ramionami i nie wiedząc czemu się zaczerwieniła. – To jakiś ptaszak pewnie.

Nasłuchiwali przez dłuższą chwilę, ale dźwięk już się nie powtórzył.

– Musimy coś zrobić... – odezwał się po chwili niepewnie Radek. – Nie możemy siedzieć tak... beczynnie.

– To znaczy... co masz na myśli? – zainteresowała się Margotta. – Niby co zrobić?

– To ja... mam... to znaczy mia-łem... coś zro-bić. – zaczął mówić Robb, jakając się zupełnie jak Radek. – To znaczy uratować świat. A właściwie to kogoś ważnego... wyjątkowego... Klucz do... uratowania tego świata. Taki był plan.

– Może zdradzisz nam w końcu ten swój tajemniczy plan! – zażądała Margotta, na co Robb pokręcił głową z rezygnacją.

– Plan zawiódł... Wszystko dzieje się nie tak... Może dlatego, że to wszystko za długo trwało? Plan leżał, leżał, aż się w końcu całkiem zleżał. A może przeciwnie, wszystko zdarzyło się za wcześnie? Margotta wtargnęła do wnętrza statku, wcisnęła przyciski i uruchomiła silniki. – mówił cicho, jakby tylko do swoich myśli. – I zamiast Klucza uratowałem ciebie...

– Uratowałeś?!

Margottę ze złości aż poderwało z ławki. Stało się to tak nieszczęśliwie, że prawa stopa wpadła jej w wygrzebany przez Radka dołek i tylko mocny uchwyt Robba zapobiegł jej upadkowi. To ją jeszcze mocniej zezłościło. Szarpnęła się i zaczęła ciskać w niego gromami.

– Czy ja cię prosiłam, żebyś mnie ratował? Nie! Chciałam, żebyś mnie wypuścił! Trzeba mnie było zostawić!

– Tego nie mogłem zrobić... – odparł chłodno Robb.

– Nie? Czyżbym jednak była ważna? A może taka wyjątkowa?

– Nie.

Krótką odpowiedź Robba jeszcze bardziej ją zeźliła. Sapnęła jak parowóz i już miała rzucić Robbowi w twarz coś złośliwego, gdy ten zaczął mówić:

– Nie miałem żadnej instrukcji na wypadek, gdyby ktoś wtargnął do statku i...

Margotta nie pozwoliła mu dokończyć.

– Wciąż jakieś plany, instrukcje, klucze! – Wystrzeliła, a pomiędzy jej ściągniętymi brwiami pojawiła się jak błyskawica na burzowym niebie głęboka zmarszczka. – A własnego rozumu nie masz? Szkoda, że nie znalazłeś go razem z tymi... piepieniedzmi!

Słowa Margotty podziały na Robba jak ukłucie szpilki na nadmuchany balon. Podskoczył do góry, jakby chciał rzucić się na Margottę, zamiast tego jednak odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem zaczął się oddalać żwirową alejką. Białe kamyczki chrzęściły wyjątkowo głośno pod jego stopami.

– Robb! Co robisz? Gdzie idziesz?

Radek poderwał się z ławki i ruszył za nim, jakby chciał go zatrzymać, lecz Robb był już daleko i nawet się nie odwrócił. Wtedy Radek spojrzał błagalnie na Margottę i wyjąkał:

– No, po... wiedz mu coś.

Margotta wzruszyła ramionami na znak, że nie ma takiego zamiaru. Po chwili jednak zmieniła zdanie, przyłożyła do ust zwinięte w trąbkę dłonie i nabrała powietrza.

– Szerokiej drogi! Idź i porwij sobie teraz kogoś innego! – wykrzyknęła, po czym poderwała się i energicznym krokiem ruszyła w przeciwnym kierunku.

Radek został sam. Całkowicie skołowany patrzył to na Robba, to na Margottę. Wiedział, że za wszelką cenę musi ich zatrzymać. I nie chodziło mu nawet o ratowanie świata. Wcale nie myślał teraz o Wszechświecie, Scalorach czy Rotonie. Po prostu... bardzo polubił tę dziwną parę. Przez całe swoje kilkunastoletnie życie z nikim nie przeżył tyle przygód, ile doświadczył z nimi w ciągu tego jednego dnia. Dnia, który w dodatku jeszcze się nie skończył. Przez ten krótki czas żył się z Robbem i Margottą i teraz bezradnie patrzył, jak odchodzą i giną za przeciwległymi zakrętami alejki.

– Robb! Zaczekaj! – krzyknął tak zdenerwowany, że słowa ledwo przeszły mu przez ściśnięte gardło. – Skąd wiesz, że uratowałeś niewłaściwą osobę?

Robb nawet się nie odwrócił i właśnie zniknął za ścianą zieleni. Radek odwrócił szybko głowę. Po drugiej stronie alejki nie było też już śladu po Margocie. Zrezygnowany ciężko opadł na ławkę. Czuł rozpacz. Bał się, że już nigdy nie zobaczy tego sztywnego, oschłego chłopaka, ani tej sympatycznej, choć nieznośnej dziewczyny. Schował twarz w dłoniach i wtedy dobiegły do jego uszu z dwóch stron dwa równoczesne okrzyki:

– Że co?!

Na przeciwległych końcach alejki wyłoniły się zza żywopłotów głowy Robba i Margotty. Ze zdziwieniem spoglądali raz na Radka, raz na siebie.

– To znaczy, że jak? – krzyknął Robb.

– Co niby masz na myśli? – zawołała Margotta.

– To znaczy, że wca... wcale nie wiemy, czy Margotta nie jest tym Klu... Kluczem! – odkrzyknął im Radek.

Jego słowa zaintrygowały nie tylko Robba, ale i Margottę. Żwirowa alejka zachręściła pod ich stopami i po chwili znów cała trójka siedziała na ławce razem, a Radek podekscytowanym głosem wytłumaczył im, co miał na myśli:

– Może ten twój plan wcale się nie ze-zepsuł? Może uratowałeś właśnie tę osobę, którą mia-miałeś uratować! Przecież nie wiesz, kto to mia-miał być tym Kluczem, nie?

– Tak – potwierdził niepewnie Robb. – To znaczy... nie... To znaczy... chciałem rzec, że tak, nie wiem.

– No, widzisz! – ucieszył się Radek – A jeśli to właśnie Margotta?! Jeśli to właśnie ją miałeś uratować? Bo to właśnie ona jest tym Klu-kluczem?

Robb spojrział uważnie na Radka. Widać było, że zastanawia się nad sensem jego słów. Po chwili przeniósł spojrzenie na Margottę, zlustrował ją krytycznym wzrokiem, po czym skrzywił się i rzucił krótko:

– Kiepski pomysł!

– Mówiłam, że on mnie nie uratował, tylko porwał! – odcięła mu się momentalnie Margotta.

– Zaczekajcie! – Radek starał się, jak tylko mógł, studzić emocje. Niezrażony kolejnym niepowodzeniem, zwrócił się do Margotty z pytaniem. – Masz jakieś zdolności?

Margotta zaniepokoiła się i podejrzliwie spojrzała na Radka.

– Zdolności? To znaczy, że co? Co to są te zdolności?

– To jest coś takiego... niezwykłego, co każdy posiada, chociaż czasami sam o tym nie wie. Przecież musisz jakieś mieć!

– Hmmmm, coś niezwykłego...

Margotta zmarszczyła brwi. Zastanawiała się przez moment, po czym wzruszyła ramionami i pokręciła przecząco głową.

– Pomyśl! – Radek nie dawał za wygraną. – Każdy ma jakieś zdolności! Czasem wydają się całkiem drobne i nieistotne, ale w odpowiednich okolicznościach mogą okazać się ważne, wręcz decydujące...

Przerwał, gdyż w pobliżu znów rozległo się to samo tajemnicze burczenie, które już wcześniej tak zaniepokoiło Robba. Wyglądało na to, że coś nieznanego czaiło się w pobliżu. Zaniepokojeni zaczęli nasłuchiwać. Kiedy chwilę później burczenie powtórzyło się jeszcze wyraźniej, Robb wycelował palec w Margottę.

– To ona tak burczy!

– Sam burczysz! – odburknęła mu w odpowiedzi i od razu zaczerwieniła się od uszu po sam czubek nosa.

– Co? Jak? – Radek z niedowierzaniem nachylił się w jej stronę i nastawił ucha.

– Co to, wizjówka jakaś jestem, żeby się we mnie wsłuchiwać, czy jak?! – obruszyła się dziewczyna i odsunęła na koniec ławki.

Niewiele to jednak dało, bo ławka była krótka i kiedy po chwili znów coś zaburczało, Radek nie miał już wątpliwości.

– Robb ma rację. To ty tak burczysz!

Margotta spuściła oczy.

– Przepraszam – przyznała cicho. – To w brzuchu. Tak dawno nic nie jadłam...

Radka aż poderwało na nogi.

– Ale ze mnie kretyn! – Klepnął się dłonią w czoło, aż plasnęło. – Ja wypytuję ją o zdolności, a jakie można mieć zdolności, kiedy w brzuchu burczy? Chyba tylko do jedzenia, właśnie...

– My-myślałam, że wy nic nie je-jecie tutaj... – tłumaczyła się Margotta, podczas gdy Radek zanurzył ręce w plecaku i zaczął w nim gorączkowo grzebać.

– Zaraz, zaraz... Mam! – wykrzyknął naraz tryumfalnie i wyciągnął ze środka, zawiniętą w papier śniadaniowy kanapkę.

Rozpakował i przełamał ją na dwie nierówne części. Większą wręczył Robbowi, a mniejszą Margotcie.

– Proszę.

Margotta trzymała swoją część w dwóch palcach i oglądała ją ze wszystkich stron. W pewnej chwili powąchała połowę kanapki, po czym zajrzała do środka.

– Nic specjalnego. – Radek spieszył się momentalnie. – Z serem i pomidorem. Trochę mi się... no... wygniotła, ale to nie przeszkadza w smaku – zapewnił ją na koniec.

Dziewczyna z wyraźną rezerwą podniosła kanapkę do ust i ostrożnie ugryzła, jakby ktoś jej dał do jedzenia kawałek kory z drzewa.

– To jest... – krzyknęła jeszcze z pełnymi ustami – naprawdę superowskie! No, śmiało! Robb, nie bój się i spróbuj!

Robb także powąchał kanapkę, ale jej nie ugryzł. Za to Margotta spałaszowała swoją porcję w okamgnieniu. Ciamkała przy tym, mruzczała i głośno przełykała. Zadowolony z siebie Radek odczekał, aż skończy, a wtedy powrócił do tematu zdolności:

– A może... potrafisz przewidywać przyszłość? Albo na przykład... czytać w cudzych myślach? Albo... no nie wiem... czarować?

Po każdym kolejnym pytaniu Margotta kręciła przecząco głową.

– Lewitować?

Dziewczyna zmarszczyła czoło i ponownie zaprzeczyła.

– Przemieszczać się w czasie...? Znikać? Nic?

– Nic! – podsumowała smutno Margotta.

Robb, który przysłuchiwał się tej wymianie zdań z uwagą, machnął teraz ręką z rezygnacją.

– A nie mówiłem? Szkoda gadać...

– Nic, a nic? – Radek wpatrywał się uważnie w Margottę, nie mogąc się pogodzić z porażką. – Przecież... jesteś kosmitką!

– Dla nas to ty jesteś kosmitą! – wypalił Robb.

– Właśnie! – Margotta natychmiast się ożywiła. – Może w takim razie ty masz jakieś zdolności?

– Ja? – Radek od razu się zmieszał. – No... niby mówiłem, że każdy jakieś ma, ale... Wiesz, czasem zdarzają się wyjątki... i ja właśnie jestem tego najlepszym przykładem.

Po tych słowach na krótko zapadło milczenie. Naraz Radek i Margotta równocześnie spojrzeli na Robba, ale ten pokręcił przecząco głową.

– Ja tylko miałem uratować kogoś, kto miał mieć te... zdolności. Ale nawet to mi nie wyszło...

Po jego słowach całą trójkę opanowało przygnębienie.

– Jest źle? – spytała po chwili Margotta.

– Nie, skądże... – Radek skrzywił się gorzko. – Zbliża się zagłada świata. Atakują nas groźne potwory dowodzone przez jakiegoś okrutnego czarnoksiężnika Rotona... Jedyne my możemy się temu przeciwstawić, tyle że... nie wiemy jak. To znaczy, nikt z nas nic nie potrafi. Nie ma żadnych zdolności!

– Mam! – krzyknęła Margotta tak głośno, że z pobliskiego drzewa uciekło z furkotem stadko rozćwierkanych wróbli. – Zupełnie o tym zapomniałam. Umieję mówić od tyłu. Jeżeli powiesz jakieś zdanie, to ja powtórzę je od tyłu. No, powiedz coś, a ja...

Urwała w pół słowa, widząc, że Radek i Robb mają takie miny, jakby zjedli po kilo pieprzu.

– Wiedziałem, że to nedorzeczny pomysł – powiedział z rezygnacją w głosie Robb. – Niepotrzebnie tu wracałem.

Wstał, a razem z nim podniosła się także Margotta. Radek bez zastanowienia złapał ich mocno za ręce.

– Może osobno, żadne z nas nie ma jakiś zdo... zdolności, ale razem...

– Razem? – powtórzyli za nim Robb i Margotta.

– Tak! Razem... możemy coś wymyślić. Zresztą... jakie mamy wyjście? – Radek mówił jak w gorączce. Z każdym słowem coraz bardziej brakowało mu tchu.

– Musimy trzymać się... razem. Dopóki istnieje świat... Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Jak... trzech Muszkieterów!

Ledwo skończył, odetchnął głęboko i zauważył, że jego podniosły nastrój nikomu się nie udzielił. Margotta i Robb uparcie milczeli z zaciętymi minami. Jego także powoli zaczęła ogarniać rezygnacja. Puścił ich ręce i... całkiem dla siebie niespodziewanie sam zaczął odchodzić. Z każdym krokiem rosła w nim wściekłość i łzy cisnęły mu się z bezsilności do oczu. Zdażył już ująć dobrych kilkanaście metrów, gdy za jego plecami rozległ się niezbyt głośny okrzyk Robba.

– Nie pojmuję, kto to są ci... Szkieterowie, ale jeśli już, to nie trzech tylko czterech!

Radek zatrzymał się i spojrzał za siebie. Robb i Margotta siedzieli na ławce z podkulonymi nogami, a przed nimi stał na ziemi mały kundelek. Był jasny w różnego koloru łaty, jakby jakieś dziecko pochlapało go farbami. Jego podłużny pyszczek zaczynał się czarnym wilgotnym noskiem, a kończył uszami, z których jedno, a konkretnie prawe, sterczało wyzywająco do góry, podczas gdy lewe kładło mu się na pysk. Z przodu błyszczały czarne, szelmowskie oczka. Wizerunku dopełniał zakręcony jak sprężyna ogon, którym pies merdał, nie spuszczając Robba ze ślepiów.

Radek od razu go rozpoznał. To był ten sam pies, który rano tak energicznie obszczekiwał ich na ulicy, a jego nawet capnął za nogawkę.

– Najwyraźniej polubił Robba – uśmiechnęła się Margotta.

– Raczej jego kanapkę.

Radek wrócił i ostrożnie usiadł na ławce.

– Nie zjadłeś? – Margotta spojrzała zdumiona na Robba. – Ależ to przecież jest pyszne! Nie bój się, spróbuj.

– Nie czuję głodu – mruknął Robb. – Dumam, że to się bardziej przyda komuś innemu.

To ładnie z jego strony, że skoro nie jest głodny, to chce się ze mną podzielić – ucieszył się Radek w myślach.

Przełknął głośno ślinę, bo sam czuł potworny głód. Jednak srodze się zawiódł, gdyż Robb podsunął swój kawałek kanapki... psu. Kundelek zamerdał na to ogonem, lecz nie podszedł. Warknął tylko cicho i nawet cofnął się o krok. To z kolei zezłościło Radka.

Jeszcze grymasi kundel jeden!

Robb odłamał kawałek kanapki i rzucił przed siebie. Piesek podskoczył do przodu, kłapnął szczękami i pochłonął łapczywie kęs, zanim ten jeszcze zdążył upaść na ziemię. Oblizwał się ze smakiem i już bez dalszych oporów podszedł do Robba, delikatnie wyciągnął zębami z jego dłoni pozostały kawałek kanapki i połknął go w okamgnieniu.

– Musiał być bardzo głodny – zauważył Robb.

Nie tylko on – pomyślał na to Radek, spoglądając zazdrośnie na oblizującego się ze smakiem psa.

Wyciągnął do swoich nowych przyjaciół otwartą dłoń skierowaną wierzchem do góry i odezwał się uroczystym głosem.

– To co, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego? Jak trzech Muszkieterów?

Margotta położyła swoją dłoń na dłoni Radka i poprawiła go.

– Jeśli już to troje!

– Jeśli już... – Robb do nich dołączył. – To czworo. Czworo tych... Szkieterów.

Wskazał ruchem głowy na psa, który merdając podkreconym ogonkiem, wskoczył na ławkę, polizął ich po złączonych dłoniach, jakby w ten sposób też przystępował do ich przymierza, a na koniec...

– Miau! – zamiauczał radośnie.

Radka aż poderwało z ławki, jakby raził go prąd. Uczynił to tak raptownie, że siedząca obok Margotta pisnęła ze strachu i też podskoczyła jak ukłuta szpilką. Tylko Robb zachował stalowe nerwy, ale i on się zaniepokoił.

– Co się stało?

– Ten pies zamiauczał! – wykrzyknął Radek.

– To chyba dobrze? – Robb wzruszył ramionami uspokojony. – Potwierdził tak, że chce być z nami tym... Szkieterem.

– Mu! Mu... szkieterem – emocjonował się dalej Radek. – Nie rozumiecie? Psy nie miauczą!

– Nie? – zdziwiła się Margotta. – A co robią?

– Oprócz tego, że gryzą! – Robb nie omieszkął przypomnieć.

– Psy szczekają! Nie pamiętacie? O tak: hau, hau! – Radek zaszczekał w kierunku psa.

– Miau! – odpowiedział mu kundelek i jakby tego było mało, głośno prychnął.

– Może tylko czasem sobie miauczy. – Robb wzruszył ramionami. – Przecież Ziemianie też nie muczą, a ty przed chwilą zamuczałeś.

– Nie zamuczałem, tylko cię poprawiałem, że nie żadni Szkieterowie tylko Muszkieterowie. – wytłumaczył się Radek z naciskiem na zgłoskę „mu”. – A psy nie miauczą, miauczą tylko koty!

– To może w takim razie to jest kot? – Robb przyjrzał się kundelkowi z ciekawością, ale i z odrobiną nieufności. – Czy koty też gryzą?

– Gryzą, drapią i prycają, ale to nie jest kot, tylko pies! – stwierdził stanowczo Radek. – Zresztą rano przecież jeszcze szczekał!

– To tylko znaczy, że szybko się uczyyy...

Margotta, zamiast dokończyć, niespodziewanie głośno ziewnęła.

– Ja myślę, żeee... – Radek też nie zdołał opanować potężnego ziewnięcia.

– ...że wszyscy powinniśmy odpocząć! – dokończył za niego Robb. – Jest już późno i dzisiaj nic więcej nie wydumamy!

Rzeczywiście, całkiem nie wiadomo kiedy zapadł zmrok. A przecież czerwcowe dni są najdłuższe w roku. Znaczyło to, że już było dobrze po dwudziestej pierwszej. Dotąd Radek bał się, że wróci do domu za wcześnie, za to teraz się wystraszył, że dostanie burę za zbyt późny powrót.

Na szczęście dzisiaj mama późno wraca z dyżuru – przypomniał sobie i odetchnął z ulgą. – Nie będę się musiał tłumaczyć, co tak długo robiłem i gdzie byłem. No i dzięki temu udało mi się przemyścić tę dwójkę do mojego pokoju.

Ten pomysł natychmiast mu się spodobał.

– To chodźmy do mnie – zaproponował i od razu ruszył z miejsca.

Margotta poderwała się z wielką chęcią. Za to Robb wstał z wyraźnym wahaniem, ale i on ruszył za Radkiem, a po chwili pobiegł też za nimi łaciaty piesek. Przebierał szybko krótkimi nóżkami i merdał zakręconym ogonkiem. Widząc to, Radek wycelował w niego palcem i odezwał się rozkazującym tonem:

– Pies zostaje!

Kundelek stanął, jakby zrozumiał jego rozkaz.

– Ale dlaczego? – Robb wystąpił w obronie psa. – Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Uleciało ci z głowy? Czterej ci... Szkiete... Muszkiete...

– Czworo! – Weszła mu w słowo Margotta.

– Muszkieterów było troje... – odezwał się Radek. – To znaczy trzech. A poza tym Muszkieterami byli lu...

Chciał powiedzieć „ludzie, a nie zwierzęta”, ale na szczęście szybko ugryzł się w język. Bo co jak co, Margotta i Robb ludźmi przecież nie byli.

– A tak w ogóle to mama zabroniła mi sprowadzać do domu psy... I koty też. – dodał na wszelki wypadek i, nie czekając na pozostałych, ruszył z miejsca.

Margotta i Robb z ociąganiem dołączyli do niego, tylko kundelek pozostał samotnie na środku alejki. Pomiaukiwał cicho i ze smutkiem patrzył na oddalającego się Robba. Ten z każdym krokiem szedł coraz wolniej, jakby nie mógł pogodzić się z myślą, że piesek musi zostać. Coś go ciągnęło do tego... zwierzakka. Ktoś normalny mógłby czuć obawę przed takim... nie wiadomo czym. Ni to psem, ni kotem.

Tak, ale ja przecież wcale nie jestem normalny! – stwierdził w myślach Robb, po czym nagle zawrócił i powiedział: – Dogonię was, tylko się z nim pożegnaj...

– Dobra! – zgodził się Radek. – Ale się pośpiesz, bo musimy zdążyć przed powrotem mojej mamy.

3.

Pod wieczór ulice miasta opustoszały. Sklepy, w tym także i „Centrum Handlowe”, były już pozamykane. Uliczne latarnie, światła w oknach i lampy przy bramach wejściowych do budynków usiłowały rozgonić zapadły szybko zmrok. Wszystko wyglądało tak, jakby nic szczególnego się nie wydarzyło i nie było żadnej inwazji potworów. Pozorny spokój skutecznie usypiał czujność mieszkańców i mogło się wydawać, że światu nic nie zagraża. To jednak były tylko pozory, bo nad światem gromadziły się coraz gęstsze, czarniejsze chmury.

Radek prowadził, Robb i Margotta szli za nim w milczeniu. Wszyscy czuli narastające szybko zmęczenie. W pewnej chwili od strony Robba rozległo się wyraźne burczenie.

– Teraz ty burczysz! – wykrzyknęła z satysfakcją Margotta. – Trzeba było zjeść kanapkę samemu, a nie dawać psu.

Radek rozłożył ręce.

– Przykro mi, drugiej nie mam, ale w domu coś się znajdzie do jedzenia. Mam nadzieję... – dodał, bo sam był już tak głodny, że prawie skręcało mu kiszki.

– Jak wam przeszkadza, to mogę iść z tyłu – mruknął Robb.

Zwolnił i mimo protestów Radka i Margotty od tej chwili szedł w pewnej odległości za nimi. Nie uszedł jednak kilku kroków, kiedy jego płaszcz poruszył się i zza pazuchy wysunął mu się... mały, łaciaty pyszczek z jednym stojącym i drugim oklapniętym uchem. Robb łypnął szybko okiem w kierunku Radka i Margotty, ale na szczęście żadne z nich nie patrzyło teraz w jego stronę.

– Mówiłem ci, żebyś się nie wychylał – wyszeptał do psa z naganą w głosie.

W odpowiedzi zwierzak polizał go po nosie.

– Błę, mokre. – Robb się skrzywił i wytarł nos rękawem. – Przestań to robić! I przestań mruzczyć... Mruczku. O, od dziś właśnie tak będę cię zwał: Mruczek.

– Mruczek... – zamruczał cicho pies i się zadumał.

Kiedyś, w odległym szczytnictwie, kiedy miał swój dom, miał oczywiście też i swoje imię. Tyle że jakiś czas temu został porzucony. Jego ludzka rodzina wysadziła go z samochodu i pojechała na wakacje. Od tej chwili żył na ulicy. Żywił się odpadkami znalezionymi na śmietniku. Był bezpańskim kundlem, z czasem nawet zapomniał, jak miał na imię i żył bez imienia. Tak było aż do dotąd, bo właśnie od tego dziwnego osobnika, który chował go pod płaszczem, dostał swoje nowe imię. To nic, że kocie, grunt, że własne. Czarne, wielkie oczy Mruczka zabłyśły ze wzruszenia jak gwiazdy na niebie.

– Ty, on chyba rozmawia ze swoim płaszczem – szepnął Radek do Margotty i ruchem głowy wskazał na Robba.

Dziewczyna jednak zdawała się go nie słyszeć. Szła zamyślona z głową zadartą do góry. Widząc to, Radek zażartował:

– Chcesz odfrunąć?

Broda Margotty zadrżała, jakby miała się zaraz rozpląkać i Radek od razu pożałował swojego żartu.

Pewnie wypatruje na niebie swojej rodzinnej planety – domyślił się i odruchowo spojrział w górę. Na czystym niebem nad ulicą widać było wyjątkowo dużo świecących jasno gwiazd.

– Nie... Ja tylko szukam bąbpli! – odpowiedziała cicho Margotta.

– Bąbpli? – zdziwił się Radek.

– No tak, bo... chce mi się pić – wyjaśniła.

– Ale... przecież picie nie spadnie ci z nieba.

– Nie? – Tym razem zdziwiła się dziewczyna.

Dziwna ta Margotta... – pomyślał Radek, lecz na głos powiedział: – Picie kupuje się w sklepie, ale teraz wszystko jest już zamknięte.

– Ojej, to nie macie tu bąbpli?

Margotta zrobiła wielkie oczy i zaczęła mu opowiadać jak to na Margencie, gdzie jest zawsze gorąco, unoszą się w powietrzu kolorowe, wypełnione różnymi rodzajami pysznych soków bąbble. I że wystarczy tylko wbić w taki bąbbel rurkę i pić z niego ile dusza zapragnie. Dalej opowiedziała mu jak ze swoimi przyjaciółmi,

Pattrojem, Rakkiem i Makkiem, po wspólnej zabawie na złomowisku w chowwańca wbijali rurki w jeden bąbel, żeby wspólnie gasić pragnienie pysznym sokiem. A z kolei, gdy była mała, często z tatą grała bąbblami w najróżniejsze gry.

– Trzeba było uważać – ciągnęła swoją opowieść – bo bąbble potrafiły nagle pękać i opryskiwać kolorowym, lepkiem sokiem całe ubranie. Najgorzej plamił sok z owoców catangi, ale za to był najsmaczniejszy. Wprost go uwielbiam... to znaczy... – poprawiła się szybko – uwielbiałam.

Tu głos się jej załamał. Spuściła wzrok i odwróciła twarz, żeby ukryć dwie wielkie jak bąbble łzy.

Rozdział Piąty

Przybycie Rotona.

1.

Zza horyzontu zarysowanego dachami budynków, kominami i antenami wyłonił się straszny potwór. Swoim cielskiem wypełniał niemal całą ulicę. Stąpał ciężko i przeraźliwie ryczał, aż wszystko drżało. Przednimi łapami z łatwością strącał dachy, a ogonem kruszył ściany kamienic. Niszczył, co tylko napotkał po drodze, siejąc wokół przerażenie i strach. Na głowy uciekających w panice ludzi spadały kawały murów, z rozbitych okien sypało się na ich głowy szkło, a w powietrze strzelały iskry i wzbijały się tumany czarnego kurzu.

– Scalory!

Robb poderwał się na równe nogi i chciał uciekać, dokądś bieć, gdzieś się schronić, lecz w miejscu osadził go natychmiast głośny rechot Radka.

– Co w tym śmiesznego? – wrzasnął na to Robb, cały napięty, gotowy do działania. – Oni tam giną! Twoi... Ziemianie! Cały Świat ginie, a ty...

– Spo... spokojnie – przerwał mu Radek, niemal krztusząc się ze śmiechu. – To tylko film. „Godzilla”. Taki horror. Żeby się bać, właśnie.

– Bać się? To wy tak lubicie się bać? – Robb aż otworzył usta ze zdumienia. – Dlaczego? Co w tym jest takiego, że samemu chce się bać!

– No... po prostu...

Radek wzruszył tylko ramionami, bo nawet nie wiedział, co odpowiedzieć. Nagle poczuł się jakoś dziwnie. Dawniej faktycznie lubił się bać, lecz teraz wszystko przecież było inaczej.

– Tak na niby to jest fajne – spróbował się wytłumaczyć. – Gorzej bać się naprawdę.

Gdy w końcu dotarli do domu Radka, od razu zjedli kolację. Nawet Robb chyba w końcu zgłodniał, bo już bez oporów wziął talerzyk z kromką chleba i resztką wczorajszego sera, którą znaleźli w lodówce. Dołożył sobie nawet pomarszczoną, zeschniętą parówkę, na którą nikt inny nie miał zbyt ochoty.

Kiedy skończyli jeść, Radek zaproponował, żeby przed powrotem mamy pooglądali telewizję.

– Dowiedcie się czegoś o życiu na Ziemi i o zwyczajach ludzi.

– Ja jestem już zmęczona – zaprotestowała Margotta i na dowód znów szeroko ziewnęła. – Wolę się szybko wykąpać i pójść spać. A jutro wszystko mi opowiecie.

To właśnie wtedy Radek włączył pilotem telewizor i trafił akurat ten horror, a w nim na scenę, gdy Godzilla niszczyła miasto. Teraz oddał Robbowi pilota.

– Jak chcesz, to sam sobie coś znajdź.

– Najgorsze... – Robb zaczął z ponurą miną przełączać kanały. – Że przeminął cały dzień, a my nie dzierzmy żadnego planu jak pokonać Scalory.

– Już raz je przecież pokonaliście – przypomniał mu Radek. – Rozbiliście ich statki w Kosmosie. I to bez żadnego planu.

– Nie „liście”, tylko „jaście”! Bo to ja wypuściłam paliwo i pokonałam Scalory! – Margotta rzuciła wyzywające spojrzenie w kierunku Robba. Właśnie wyszła z łazienki i wyglądało na to, że w kąpielii odżyła. – A skoro raz mi się udało, to zawsze może udać się i drugi raz!

– Może ze Scalorami... – zgodził się niechętnie Robb. – Ale nie z Rotonem. To najpotężniejszy czarnoksiężnik, zły i okrutny.

Margotta wzruszyła ramionami.

– Roton na szczęście jest daleko, więc...

– Cicho! – bezceremonialnie przerwał jej Radek, na co ona spojrzała na niego z wyrzutem i już otwierała usta, żeby mu coś odburknąć, lecz on zdecydowanym gestem wskazał palcem na ekran telewizora.

Widać było na nim, jak dwaj ubrani w białe fartuchy pielęgniarze prowadzą kogoś zasznurowanego w kaftan bezpieczeństwa.

– Pamiętacie go? – Radek wyrwał Robbowi z dłoni pilota i zgłosił dźwięk.

– Pan Stasiek – potwierdził Robb i mimowolnie dotknął swojej głowy w miejscu, gdzie tamten nawiązał z nim kontakt butelką. – Co oni z nim robią?

– Pewnie prowadzą go do domu wariatów.

– A co to jest dom wariatów? – spytała Margotta, lecz zanim Radek zdążył jej odpowiedzieć, pan Stasiak wrzasnął do mikrofonu podsuniętego mu przez biegnącego obok z całą ekipą telewizyjną redaktora.

– Był cały czarny! Wielki i czarny! Cały!

Redaktor zrobił wyraźne oko do widzów i udając pełną powagę, zwrócił się do pana Staśka z pytaniem.

– A przypadkiem nie zielony? Bo Kosmici są przecież zieloni. A może na przykład był... różowy w zielone paski?

– Czarny! Jak pirat. I miał na głowie wielkie kły! – wykrzykiwał rolnik, wrywając się sanitariuszom, którzy usiłowali go właśnie wepchnąć do karetki. – Jak lew, bynajmniej!

– Sami państwo widzą. Tak kończy się kolejna historyjka o ufoludkach... – komentował całą sytuację redaktor, podczas gdy z tyłu było widać, jak pan Stasiak zapiera się skutecznie nogami o rozsuwane drzwi samochodu. – Dowodzi to tylko jednego: żadnych Ufoludków nie ma! Zresztą... ja od początku oczywiście nie wierzyłem w ani jedno słowo...

Nie dane mu było dokończyć zdania, gdyż pan Stasiak jakimś cudem zdołał się wyrwać z łap pielęgniarzy, podbiegł do niego i zaczął wykrzykiwać do mikrofonu.

– Czarny jak pirat! Bez nogi! To znaczy z nogą, ale sztuczną... I z żelazną ręką też. Ludzie! Ziemianie! Un tu wylundował! Strzeżcie się go!

Sanitariusze pochwycili swojego nowego pensjonariusza i po krótkiej szarpaninie wepchnęli go wreszcie do karetki. Zasuńli za nim z hukiem metalowe drzwi, wskoczyli do środka pojazdu i po chwili ambulans ruszył na sygnale, kierując się prosto do Zakładu Psychiatrycznego „Nowe Życie”, za to w telewizorze pojawiła się reklama środka na przeczyszczenie. Margotta, Robb i Radek spojrzeli po sobie znacząco i jak na komendę wypowiedzieli jedno przerażające słowo.

– Roton!

2.

– Robb, śpisz? – spytał szeptem Radek, choć doskonale wiedział, że po wiadomości o przybyciu Rotona na Ziemię nikt nie byłby chyba w stanie zmrużyć oka.

– Nie – potwierdził cicho jego przypuszczenia Robb.

– Nie musicie szeptać – odezwała się Margotta. – Ja też nie śpię.

Radek przygotował dla wszystkich spanie u siebie na górze. Nie był to duży pokój, raczej pokoik. Bo też i cały dom, w którym mieszkał z mamą, był nieduży, lecz na większy nie mogli sobie pozwolić. Zresztą i po co? Taki był w zupełności wystarczający dla dwóch osób. Radek nie miał żadnych przyjaciół i nikt go nie odwiedzał. Aż do dzisiaj.

Swoje łóżko odstąpił Margotcie, a dla siebie i Robba rozłożył na dywanie koce. Kiedy zgasił światło, rozbłysły bladozielonym światłem fosforyzujące naklejki w kształcie gwiazd i planet, które poprzyklejał na ścianach i suficie dokładnie odwzorowując prawdziwe niebo. W końcu chciał przecież być Odkrywcą.

– Jak pięknie! Jak prawdziwe Niebo! – zachwyciła się Margotta i od razu zaczęła sobie wyobrażać, że jeden z tych świecących punkcików to planeta Margenta.

– Skąd się wziął ten... Roton? – zapytał Radek. – Jak to się zaczęło? Dlaczego pojawiło się zło?

– Wszystko to przez pewien zespół reakcji chemicznych zachodzących w organizmie, a zwanych... „miłością”.

– Miłość to nie żaden zespół... tylko uczucie. Wspaniałe, wielkie... i dobre!
– zaprotestowała gwałtownie Margotta, ale w tej samej chwili uświadomiła sobie, że w zasadzie to ona jeszcze nie przeżyła takiej wielkiej miłości.

Nie przeżyła nawet i mniejszej... A tak naprawdę to w ogóle nie przeżyła jeszcze żadnej miłości, więc w zasadzie chyba nie powinna się w ogóle na ten temat wypowiadać.

– Być może... – zawahał się tymczasem Robb. – Może to i było wielkie uczucie... Nie znam się na tym. Wolę rozprawić o faktach. W legendzie stoi, że całe nieszczęście zaczęło się wtenczas, gdy uczeń Mistrza Kedara, Zorran, zapadł na ten zespół... to znaczy na tę... „miłość” do księżniczki Mirelli.

– Księżniczki? – ożywiła się Margotta. – Jak ona wyglądała?

– Czy to jest teraz najważniejsze? – zniecierpliwił się Radek. – Księżniczki zawsze wyglądają tak samo.

– Legenda rzecze – odparł niezrażony Robb – że... miała oczy koloru marantowomigrowego i długie, jasnocatangowe włosy...

– To tak jak ja! – ucieszyła się Margotta.

– Teraz masz krótkie – wtrącił Radek. – Robb powiedz lepiej, co było dalej.

– Mirella nie odwzajemniała miłości Zorrana. Młodzieniec wykradł więc Mistrzowi księgę do czarnej magii i za pomocą eliksiru, przyrządzonego przez siebie na podstawie jednej z recept z tej księgi, omal nie pozbawił jej życia...

– Co? – Margotta poderwała się tak gwałtownie, że aż zajęczały żałośnie sprężyny Radkowego łóżka. – Chciał ją zabić?

– Wtedy nie. Chciał tylko w ten sposób zdobyć jej miłość. W tym celu podał jej dla pewności potrójną i, jak się okazało, niemal zabójczą dawkę eliksiru. Kiedy księżniczka wyzdrowiała, nie chciała nawet słyszeć o uczniu Kedara. Nie chciała go też więcej widzieć... To właśnie wtedy w sercu odrzuconego młodzieńca na dobre zagościło zło. Jasny płomień miłości zmienił się w czarny ogień nienawiści i Zorran zapragnął straszliwej zemsty.

– Na księżniczce? – drążył Radek.

Opowieść Robba wciągnęła go nie mniej niż Margottę.

– Na Mirelli... i na całym świecie! – odrzekł Robb i zamilkł.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. W ciemnym pokoju, rozjaśnionym jedynie blaskiem świecących na suficie planet i gwiazd, słyszeć było jedynie ich przyśpieszone oddechy.

– Na szczęście zarówno Król, jak i Kedar przewidzieli to i postanowili temu zawczasu przeciwdziałać. – Robb podjął po chwili swoją opowieść. – Mistrz z

bólem serca zobowiązał się zlikwidować zło w zarodku, a do tego czasu mieli ukryć Mirellę. Niestety Zorran podsłuchiwał ich rozmowę...

– To straszne! – Margotta i Radek wzdrygnęli się równocześnie.

– Następnej margenocy Mistrz zakradł się do komnaty Zorrana. W rękę dzierżył likwidator. Miał na zawsze zamienić ucznia w głaz, lecz... im dłużej wpatrywał się w Zorrana, tym bardziej nie był do tego zdolny. Nie mógł uczynić zła, nawet żeby tak uratować dobry świat.

Robb przerwał i znów zapadła pełna napięcia cisza.

– Ale co się stało? – zniecierpliwiła się w końcu Margotta.

– Tego właśnie nie wiadomo... Mistrz już nie wy dostał się z komnaty Zorrana.

– A jak wyglądał ten Kedar? – zapytał Radek.

Głos mu wyraźnie drżał, jakby był bardzo czymś poruszony.

– Czy to jest teraz najważniejsze? Czarnoksiężnicy zawsze wyglądają tak samo – przedrzeźniała Radka Margotta.

– Kedar zawsze wdziawał białe szaty – odpowiedział spokojnym głosem Robb.

– To by się zgadzało! – wykrzyknął Radek tak gwałtownie, że aż Robb i Margotta podskoczyli na swoich legowiskach.

– Co?!

– W dzieciństwie wiele razy powtarzał mi się taki sen: ubrany na biało starzec wchodził w nocy do mrocznego pomieszczenia, w którym spał jakiś chłopak. Celował do niego z dziwnej broni, ale nie strzelał. Nagle chłopak otwierał oczy. Zrywał starcowi z szyi kamienny medalion i...

– I co? – nie wytrzymała znów Margotta.

– Nic. W tym momencie zawsze budziłem się z krzykiem. Doktor Mąka, do którego zaprowadzili mnie rodzice, twierdził, że to miało jakiś związek z tym moim jękaniem... – Radek się zawahał. – Czy to możliwe, że to śnił mi się właśnie Mistrz Kedar?

– Raczej ujrzałeś we śnie jakiś... horror z tej waszej wizjówki – odezwał się sceptycznie Robb. – Ten, co mówiłeś, że są, żeby się bać...

– A co zdarzyło się dalej? – zwróciła się do niego Margotta.

– Wszystko się dokonało dziewięćdziesiątej piątej margenocy, trzydziestego drugiego margemiesiaca, dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego margeroku! Z komnaty Zorrana rozległ się przejmujący krzyk Mistrza, a po chwili wybiegł stamtąd Zorran. Wyglądał jak oszalały. W dłoniach kurczowo ścisnął wyszczerbiony medalion z zaklęciem. Kedar zawsze nosił go na szyi i nigdy nie zdejmował. Zorran pobiegł do pokoju Mirelli. Zapewne chciał ją porwać, ale księżniczka była już dobrze ukryta. Wtedy pognął do komnaty króla, pewnie by wydobyć z niego informację o miejscu ukrycia córki. Gdy władca Margenty zaczął wzywać strażę, Zorran jednym uderzeniem medalionu uciszył go na margewieki.

– Na Katyllę... – Margotta była wyraźnie wstrząśnięta.

Także na Radku historia Robba wywarła piorunujące wrażenie.

– A co się stało z księżniczką?

– Zanim została ukryta, Mistrz użył magii i odjął jej pamięć. Uczynił to, żeby się nie zdradziła, że pochodzi z królewskiego rodu. Otrzymała jedynie jakiś znak rozpoznawczy, o którym wiedzieli tylko król i Mistrz.

– Och! – westchnęła głęboko poruszona Margotta. – Ale historia.

– Tyle że Zedjusz zginął z rąk Zorrana, a i Mistrz...

– Właśnie, co się stało z Kedarem?

– Tego właśnie nikt nie wie. Bo kiedy nadbiegły zaalarmowane strażę, zauważyły w komnacie Zorrana szaty Mistrza. Ułożyły się tak, jakby to sam Mistrz w nie odziany leżał na kamieniach posadzki. Jednakowoż wewnątrz tych szat nie było ani żywego Kedara, ani jego ciała. I od tamtego czasu wszelki słuch po nim zaginął.

– A... co z Zorranem? – spytał cicho Radek.

– Umknął. Zabrał medalion oraz kilka wynalazków Kedara i zniknął... Legenda rzecze, że próbował odnaleźć Mirellę, ale po wielu margelatach bezskutecznych poszukiwań osiedlił się w Mgławicy Czarnego Wiru. Tam on sam,

a potem jego uczeń, a wreszcie uczeń jego ucznia, usiłovali wypowiedzieć do końca Zakłęcie Kedara i zdobyć władzę nad światem. Bezskutecznie. I tu dochodzimy do ostatniego z nich, Rotona... Radek? Margotta?

Odpowiedziała mu cisza. Słyszeć było tylko tykanie budzika na biurku i miarowe oddechy. Odczekał jeszcze chwilę, po czym usiadł na swoim posłaniu. Pogrzebał w kieszeni kombinezonu i ostrożnie wyjął schowaną w niej uprzednio kanapkę i parówkę. Powąchał, a potem cicho psyknął.

3.

Ślepie Scolorów jak punktowe reflektory rozświetlały ciemności i śledziły jedną postać: Mastera Rotona.

– To miało być bez hałasu?! To tak wygląda wtopienie się w tło?! – Master maszerował przed stojącymi w szeregu Scolorami, waląc wściekle kikutem o posadzkę. – Bez strzałów, pustoszenia i palenia?!

Był środek nocy. Ziemskie miasto spało i światła we wszystkich budynkach i mieszkaniach były już dawno pogaszone. Tylko z usytuowanego na przedmieściach i opuszczonego magazynu przemysłowego wydostawały się przez szpary i pozbawione szyb otwory okienne ostre błyski światła. Hala była na tyle wysoka, że Scolory mogły w niej stać wyprostowane, a mimo to kulily się, zwieszając łby i szcękając ze strachu kłami. Mrugały też nerwowo, co sprawiało, że ich ślepie świeciły jak stroboskopowe lampy, przez co Master prezentował się w ruchu jeszcze groźniej i bardziej drapieżnie niż zwykle.

– Tyle zamieszania, tyle zmarnowanych pocisków... i co? Gdzie uciekinierzy? Gdzie te nędzne istoty? – wykrzykiwał czarnoksiężnik. – Gdzie ich nędzne ciała?!

Scolory zamknęły z przerażenia ślepie i natychmiast wewnątrz hali pogrzyły się w ciemnościach.

– Nie ma! – rozległ się drżący syk dowodzącego operacją Żuja. – Nigdzie nie ma!

– To znaczy... ciał nie ma – włączył się Ptakoj. – Bo są oni, tyle że gdzie... nie wiemy.

– To znaczy, wiemy! W tłum tych ziemskich, bezrozumnych istot, których są tu tysiące, wmieszały się! – uściślił Bazylich. – I teraz, jak już Master tu jest, to na pewno ich znajdziemy!

Potwory spojrzały jak jeden na Rotona. Jego twarz kipiała wściekłością i nienawiścią jak czynny wulkan.

– Nie będziemy nigdzie szukać! – wycharczał. – Sami do nas przyjdą, a my tylko zaczekamy!

– Jak to sami przyjdą? – zdziwił się niepewnie Żuj.

– Kiedy weszliscie z hukiem do miasta i urządziliście takie przedstawienie, że aż musiałem tu przylecieć... – odezwał się groźnym głosem Roton. – Ci Ziemianie wzięli was za cyrk.

– Tak, tak! – Bazylich potwierdził skwapliwie oboma łbami. – „Cyrk, cyrk” krzyczeli! Cieszyli się, brawo bili i cały czas się nam pod łapami płatali...

– Dzięki wam – przerwał mu Roton – całe miasto teraz wie, że przyjechał cyrk i całe miasto będzie chciało ten cyrk zobaczyć. Żadna mała ziemską istota nie opuści takiego przedstawienia. Nasi uciekinierzy też tam na pewno przyjdą. A my będziemy na nich czekać i wtedy ich dorwiemy.

– Aaaa! To prawdziwie masterski plan! – ryknęły Scalory z uznaniem.

Tylko Żuj miał niepewny wyraz pyska.

– Ale jak będziemy czekać tam? – wysyczał. – Przecież od razu się wyda, że my z cyrku nie jesteśmy tego. No i uciekinierzy rozpoznają wtedy nas!

Master karał zwykle każdego, kto tylko ośmielił się kwestionować jego plany. Pozostałe Scalory cofnęły się więc i zamknęły ślepią w oczekiwaniu, że także i teraz Roton srodze ukarze Żują. Jednakże ten ku ich zdumieniu nie uczynił mu nic strasznego. Zamiast wybatożyć lub przynajmniej zwyzywać go od „piedestałów” czy „podestów”, bez słowa postawił na posadzce niewielki, kanciasty przedmiot. Gdy Scalory jak na komendę pochyliły się nad nim i oświetliły go

swymi ślepiami, zorientowały się, że mają przed sobą marantową walizkę z solidnymi zapięciami.

– Oooo! – jęknęły żałośnie.

Dobrze wiedziały, jakież to złowrogie urządzenie kryje się w środku. Gdy Master otworzył walizkę i wyjął z niej metalowy przyrząd z długą, rozszerzającą się ku wylotowi dyszą, Żuj cofnął się z lękiem o krok i wysyczał.

– Transformator.

– Likwidator – zawtórował mu obiema paszczami Bazylich.

Roton uniósł dyszę i Scalory zaczęły się cofać i chować jeden za drugiego. Master już wiele razy groził im, że pozamienia ich w kamienie. Dotąd traktowały jego słowa jako czcze groźby. Jednak teraz, kiedy dysza likwidatora wycelowana była w ich cielska, ogarnął je paniczny strach. Chciały się rzucić do ucieczki, ale były jak sparaliżowane. Dygotały tylko całymi cielskami i podzwaniając drutami, wpatrywały się jak zahipnotyzowane w wylot dyszy rozszerzonymi ze strachu ślepiami.

– Teraz już nikt was nie zauważy – wycedził Roton przez zęby i nacisnął guzik spustu.

Ze zrujnowanej hali przemysłowej wydobył się potworny ryk i rozniósł po uśpionym mieście. Wybuchł nagle, jak pocisk, i tak samo nagle ucichł. Po chwili nic już nie zakłócało martwej ciszy wiszącej nad ziemskim miastem.

